

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW. UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 4 marca 1905 r. Nr. 10.

Strejk uczącej się młodzieży w Warszawie.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Nowe prezydyum sejmu węgierskiego: Juliusz Justh, nowo wybrany prezydent sejmu węgierskiego.

Strejk młodzieży uczącej się w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Za ruchem robotniczym z podkładem czysto politycznym, powstało wrzenie także i wśród młodzieży wszystkich zakładów naukowych w Królestwie, która poczuwała się w obowiązku wziąć udział w tej rozpoczętej walce z rządem zaborczym o prawa narodu.

Młodzież uchwaliła, by szkoły opuścić i nie uczęszczać tak długo, aż rząd zgodzi się na wykładanie i nauczanie w języku polskim. Przedtem jeszcze wręczono we wszystkich szkołach dyrektorom i kierownikom szkół memoryały z żądaniami, jakie uchwaliła młodzież.

Ruch ten rozszerzył się po szkołach w całym kraju. We wszystkich miastach i miasteczkach Królestwa polskiego, porzucili solidarnie wszyscy uczniowie i uczennice szkoły i postanowili nie wracać do nich, aż wszystkie żądania zostaną spełnione w zupełności.

W niektórych miastach, jak n. p. w Piotrkowie, wojsko stanęło naprzeciw młodzieży, która obchodziła wszystkie szkoły kolejno i domagała się zamknięcia ich i rozpuszczenia uczących się.

Wojsko i policya, zachowywały się, jak zwykle zachowują się te organy władzy państwowej w Rosyi, wobec buntujących się. Znamy i pamiętamy te wypadki, gdzie przeciw studentom używano najbrutalniejszych środków, w celu zgniecenia ich opornego ducha.

Nic jednak nie pomogło! Duch hartował się w tej ciężkiej walce z dnia na dzień i dziś doczekaliśmy się tego, że dzielna młodzież podjęła samodzielnie szeroką akcyę za unarodowieniem szkół!

Rząd chciał i teraz zmusić uczniów do powrotu do szkół. Aresztowano setkami młodych chłopców i bito kolbami tych, co zebrali się przed zakładami naukowymi i uświadamiali kolegów z klas najniższych o tem, że i oni do szkoły rosyjskiej chodzić nie powinni! Brutalne żołdactwo rzucało się na młode panienki, które opuszczały gimnazya i bito je kolbami i ich matki, które przyszły upomnąć się za swojemi córkami. Starsi uczniowie rzucali się na żołdaków i piersiami swojemi zasłaniali koleżanki przed razami, którymi na wszystkie strony szafowało dzikie żołdactwo.

Rycina nasza przedstawia jedną z takich scen, w Warszawie gdzie młodzież męska broni swych koleżanek i ich matki przed rozbestwionem kozactwem.

Nowe prezydyum sejmu węgierskiego.

Dnia 22 lutego ukonstytuował się sejm węgierski i przeprowadził wybory prezydyum.

Zwycięstwo opozycyi kazało przypuszczać, że prezydyum będzie wybrane z łona opozycyi. Nadzieja partyi liberalnej, że uda się jej rozbić koalicyę przy wyborze prezydyum, zawiodła, chociaż wielu z posłów opozycyjnych nie wielką miało ochotę oddawać swe głosy na kandydata do krzesła wiceprezydyalnego Rakovszkiego, usłuchali jednak nakazu i wezwania partyi i nie złamali solidarności jaka obowiązuje przy wszystkich wystąpieniach zjednoczoną opozycyę!

Wszyscy posłowie stawili się do wyborów i prawdziwie licznem było to posiedzenie sejmu. Brakowało na sali 18 posłów ogółem, a mianowicie: 8 liberałów, 6 niezawisłych i 4 Kroatów.

Prezydentem izby poselskiej został wybrany kandydat opozycyi Juliusz Justh, który otrzymał 230 głosów, podczas gdy na kandydata partyi liberalnej Taliána padło zaledwie 168 głosów, a 9 kartek oddano próżnych. Juliusz Justh więc został wybrany większością 53 głosów.

Na wiceprezydentów zostali także wybrani kandydaci zjednoczonej opozycyi: Franciszek Bolgár i Stefan Rakovszky.

Nowy prezydent izby poselskiej Juliusz Justh nie jest osobistością nieznaną, gdyż od 20 przeszło lat dał się poznać jako zaciekły i twardy zwolennik partyi niezawisłości i nieugięty bojownik jej postulatów.

Dla prawości swego charakteru, cieszy się sympatyą wszystkich stronnictw sejmowych i nawet najzacieklejsi wrogowie opozycyi, nie mogą nie przyznać, że na wysokie stanowisko prezydenta, nie mogła opozycya nikogo godniejszego i odpowiedniejszego postawić.

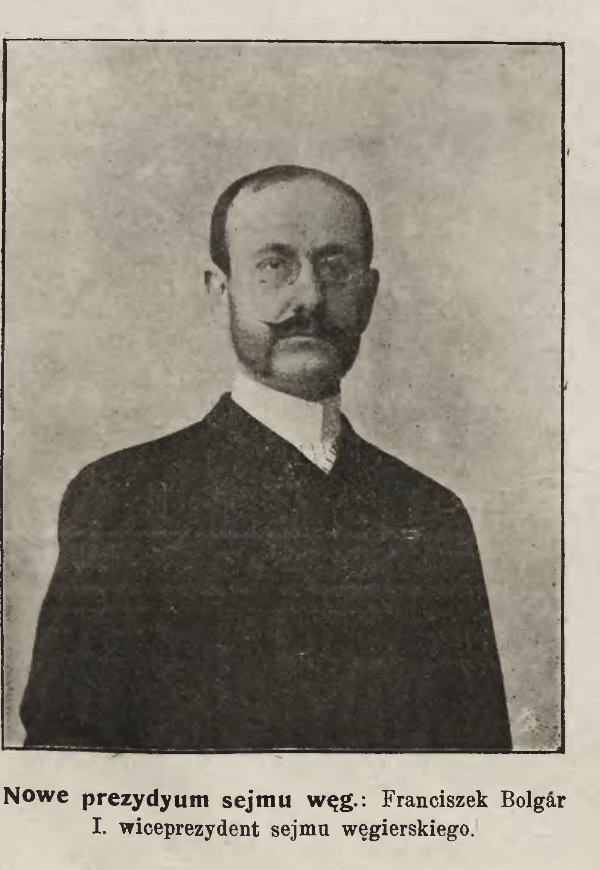
Justh urodził się w r. 1850 w miejscowości Neczpál w komitacie Turócz, a studya uniwersyteckie ukończył Budapeszcie. Od roku 1884 wchodzi jako poseł do sejmu, a wyróżnił się swemi zdolnościami, pracując w różnych komisyach sejmowych. Szczególnie przy obrabianiu i uchwalaniu prawa o nietykalności poselskiej dał się poznać ze swej gorliwości.

W r. 1893 został wybrany przewodniczącym partyi niezawisłości, a w r. 1898 był jednym z przywódców obstrukcyi przeciw Bánffyemu.

Zamieszczamy w tym numerze fotografie nowego prezydyum sejmowego.



Nowe prezydyum sejmu węg.: Stefan Rakovszky II. wiceprezydent sejmu węgierskiego.



Nowe prezydyum sejmu węg.: Franciszek Bolgár I. wiceprezydent sejmu węgierskiego.

Aresztowanie Andrzeja Niemojewskiego.

Przed tygodniem aresztowano w Warszawie Andrzeja Niemojewskiego. Imię poety warszawskiego, znanem jest powszechnie i twórczość jego nie od dzisiaj się datuje. Duch i myśl wolna, ukochanie prawdy i swobody, dają się wyczuć z jego poezyj, znanych pod tytułem: „Polonia irredenta“.

Poeta wielki, o sercu i natchnieniu potężnem, podbił sobie publiczność siłą, z jaką do nas zawsze przemawia. Duch jego wolny nie mógł milczeć dziś, gdy całe nasze społeczeństwo czuje żywiej i żyje w naprężeniu i oczekiwaniu jutra.

On, który musiał sam odczuwać przed innymi, nie mógł nie mówić dziś, gdy cały naród przemawia i woła i domaga się praw mu należnych. Nie mógł milczeć, gdy trzeba było mówić w imię swobody i prawdy!

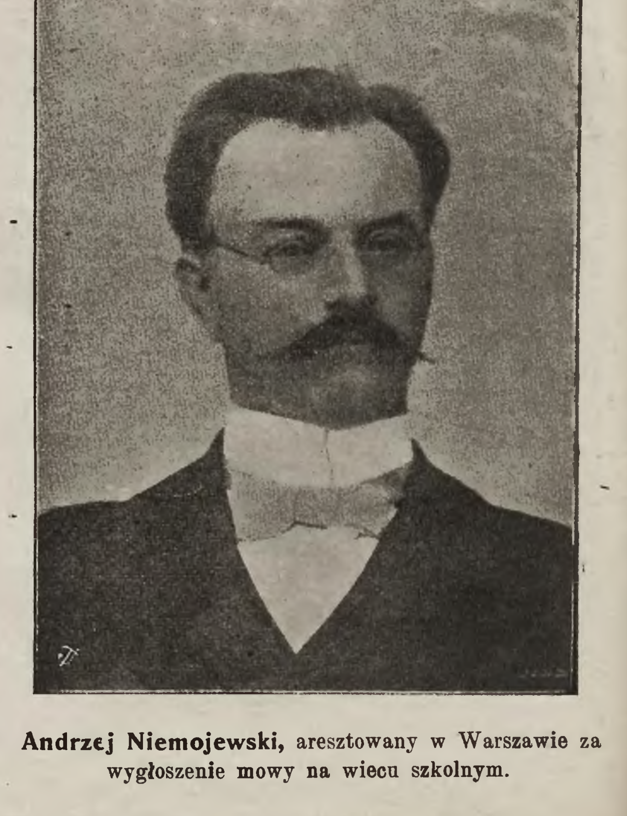
Dnia 19 lutego, w niedzielę zebrał się w Warszawie wiec! Pierwszy publiczny wiec Polaków odbyty za zezwoleniem władzy! Szereg najwybitniejszych osób obywateli warszawskich, zwołało wiec do sali muzeum przemysłowego, by zastanowić się nad obecnym strejkiem młodzieży szkolnej i nad ogólnemi przyczynami, które go wywołały. Mowa Niemojewskiego wyróżniała się tem, że nie należy o nic prosić, gdyż jeno siłą można coś otrzymać. „Prosić nie będziemy — bo oto się nie prosi i żądać nie będziemy, gdyż tego się nie żąda. To trzeba brać. Wola narodu — jest najwyższym prawem!“

W dwa dni po wiecu, Niemojewski został aresztowany i jak donoszą, skazanym na osiedlenie się w Lublinie.

Echa zamachu moskiewskiego.

Straszny akt odwetu w Moskwie ze strony rewolucyonistów, którego ofiarą padł znienawidzony powszechnie w. ks. Sergiusz, rozbrzmiewa dotychczas w całym świecie złowrogiem echem. Każdy dzień, każda chwila niemal, przynosi wiadomości w oświetleniu których dopiero w całej dokładności i grozie przedstawia się zamach.

Żona zamordowanego tyrana w. ks. Elżbieta była jedną z pierwszych, którzy zjawili się na miejscu katastrofy. Na wieść o śmierci męża, na pół ubrana w zarzuconym na ramiona szalu, pobiegła piechotą przed pałac sprawiedliwości. Wielki książę był złym człowiekiem i złym małżonkiem. Żonę tyranizował, pomiatając jej czcią i dobrą sła-



Andrzej Niemojewski, aresztowany w Warszawie za wygłoszenie mowy na wiecu szkolnym.



Echa zamachu moskiewskiego: W. księżna Elżbieta wdowa po w. ks. Sergiuszu.

wą. Sam rozpustnik, wszędzie podejrzywał to, czego sam się dopuszczał. Własna jego żona nie była wolną od tych niskich insynuacyi. Jakkolwiek więc w. ks. Elżbieta nie miała wcale powodu do wyjątkowej miłości — to jednak widząc poszarpane i pokrwawione ciało męża swego — wybuchnęła rozpaczliwym płaczem i omdlała z bolu i przerażenia. Gdy przyszła do siebie uklękła przy zwłokach przykrytych kapą i długo modliła się. Przytomni temu oficerowie i żołnierze łącząc się w boleści biednej kobiety, poodkrywali głowy.

Poszarpane zwłoki przeniesiono do pałacu. Trudność jednak nie małą stanowiło złożenie i skompletowanie ciała. Bomba porozrywała członki w. księcia i nie wszystkie kawałki dały się należycie złożyć.

Połączonym dopiero usiłowaniom chirurga, który zszywał ciało i mechanika który sztucznie dorabiał brakujące części – udało się jako tako posztukować i powypychać ciało, by je następnie przenieść do cerkwi, gdzie w otwartej trumnie wystawiono je na widok publiczny. Przykry i odrażający był to moment. Ciało porozrywane i posztukowane pozbawione było zupełnie głowy, ręki lewej brakowało jak i prawej nogi.

Tak pokaleczony i oszpecony spoczywał tyran na ostatniem swem łożu, a dokoła tej obrzydliwej i bezkształtnej masy — pełnili dygnitarze dworscy i wojskowi honorową służbę.

W. ks. Elżbieta, żona zamordowanego pochodzi z domu Hessen nad Renem i jest rodzoną siostrą panującej carowej. Śmierć Sergiusza uwalnia ją od największego tyrana i wroga. Biedna księżna zasłużyła z pewnością na lepszy los, niż ten, który stał się jej udziałem.

Z natury łagodna i dobra, była przyjaciółką i dobrodziejką swojego otoczenia. Dwa znamienne i charakterystyczne szczegóły wystarczą: Oto osobiście udała się na pogrzeb stangreta, który stał się przypadkową ofiarą zamachu na w. księcia. Drugi epizod: Na życzenie zabójcy swego męża — odwiedziła go w więzieniu i w dłuższej rozmowie pocieszała go i dała mu przebaczenie swoje.

W. ks. Elżbieta nie chce pozostać w Rosyi, gdzie los tak srogo znęcał się nad nią. Wyjeżdża z ponurej Moskwy do pięknej swej nadreńskiej ojczyzny do swych krewnych i przyjaciół, by w nowych warunkach życia w pośród innego otoczenia zapomnieć i wytchnąć po strasznych przejściach lat ostatnich.

Najstarszy panujący w Europie.

Najstarszym monarchą w Europie jest panujący obecnie w Danii król Chrystyan IX, noszący zarazem tytuły króla Wendów i Gotów i księcia na Szlezwiku, Holsteinie, Stormarn, Dithmarschen, Lanenburgu i Oldenburgu. Obecnie z powodu ostatnich wypadków w Rosyi zwrócono znów baczniejszą uwagę na koronowanego starca, który zapomniany przez historyę i politykę — pędził w uszczuplonem swem królestwie samotne dnie. Król duński Chrystyan jest rodzonym ojcem carowej wdowy rosyjskiej — tem samem zaś w prostej linii pradziadkiem maleńkiego następcy tronu rosyjskiego. A jednak przed laty odegrał on wybitną rolę w wojennych wypadkach. Wstąpiwszy na tron w roku 1863 — mocą konstytucyi przyłączył on, jako były książę Szlezwiku — kraj ten do Danii. Akt ten spotkał się z dyplomatycznym gwałtownym protestem Prus, upominających się o całość terytoryalną przyszłej Rzeszy niemieckiej. Żądania Prus poparła i Austrya. Gdy zaś w drodze dyplomatycznej sporu zażegnać nie zdołano — wkroczyły w 1864 roku złączone wojska dwóch mocarstw do Danii. Wojna skończyła się pogromem Danii, która utraciła na rzecz Prus Szlezwik, Holsztyn i Lanenburg. Jedno mogło pocieszyć nieszczęśliwego króla, że dobrze powydawał córki za mąż: jedna z nich



Najstarszy panujący w Europie: Krystyan IX, król duński, ojciec carowej-wdowy.

wyszła za księcia Walii, księżniczka Dogmara wydaną zaś została w r. 1866 za cara Aleksandra III, ojca obecnie panującego Mikołaja.

Król duński, starzec stojący nad grobem, nie był w swojem życiu szczęśliwym, a ostatnie zaburzenia w Rosyi odbiły się bardzo ujemnie na zdrowiu i usposobieniu jego.



Echa zamachu moskiewskiego: W. księżna Elżbieta nad szczątkami zwłok w. księcia Sergiusza w pół godziny po dokonanym zamachu.



KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

22 (Ciąg dalszy).

— Widzę, że coś ważnego ma mi pan powiedzieć.

— Coś bardzo ważnego... — urwał nagle i przesunął ręką po czole. Wiele już lat upłynęło od czasu, jak widzieliśmy się na Franciszkańskiej. Przyniosłem wam tysiąc rubli... dziesięć tęczówek nowiuteńkich.. Za nie mieliście się zająć dzieckiem, które trzymałem na ręku...

— Wszystko to sobie przypominam dobrze, lecz na co rozprawiać teraz o tem, co już dawno minęło?!... Powiedz mi pan raczej, jakim sposobem odszukałeś mnie obecnie?

— Nigdy nie straciłem was z oczu. Wiem, żeście kupili budę na kołach i że w niej mieszkacie... że stawiając głupim ludziom kabałę, albo udając jasnowidzącą, która dostrzega rzeczy przeszłe i przepowiada przyszłe, pędzicie marny żywot w biedzie i trosce o jutro.

— W istocie... dobrze pana poinformowano. Tylko zapewnić mogę, że nie udaję, a ino na prawdę odgaduję nieraz, co komu los przeznacza i co się z kim stanie.

— Wiem również, że wybieracie się w drogę... Nie wiem tylko dokąd. Kupiliście konia i wyrestaurowaliście wasz wagon przed podróżą... Pojedziecie razem z jakąś starą, ślepą kobietą i z małą dziewczynką...

— Żeś pan czarny jak sadze, to rzecz niezaprzeczona, lecz żeś dyabeł, który wie o wszystkiem, tego nie domyśliłabym się wcale — rzekła Ciupaga, udając zdziwienie i robiąc znak Krzyża świętego na piersi.

— Kto wie? może w rzeczy samej, jestem dyabłem, chociaż mnie ochrzczono przed laty w Paryżu, gdy mnie hrabia Jelski zgodził do swojej służby. Dość, że wiem wszystko, coście robili, co robicie.... i co robić macie.

— Nie, na to się nie zgodzę — odpowiadała Ciupaga, uśmiechając się ironicznie — nie wszystko panu wiadome... i nie wszystko pan wiedzieć może. Zato ja znam wiele rzeczy, całkiem panu nieznanych, chociaż bardzo ciekawych... stokroć ciekawszych od tego, o czem pan tu wspominałeś.

— Rozumiem! Chcecie mówić o dziecku, które waszej opiece powierzyłem. No, gadajcie szczerze, coście z nim zrobili?

— Umarło.

— Kłamiesz! — krzyknął Selim, unosząc się mimowoli.

— Czy nie wymagałeś pan odemnie, żeby raz na zawsze zniknęło z tego świata?

— Tak, ale sądziłem...

— Spełniłam rozkaz i kwita!

— To być nie może!

— Powtarzam, dziecko nie żyje.

— Przysięgnijcie, że tak jest, a nie inaczej!

Ciupaga milczała.

— Aha! czy nie miałem racyi, mówiąc, że kłamiecie?

— Co to pana obchodzi kłamię-li, czy prawdę powiadam? Dziecko zginęło. Nie znajdziecie go, choćbyście całą ziemię przeszukali. Ręczę wam za to!... Przeszło lat dziesięć, jak pana nie widziałam; przeszło lat dziesięć nie słyszałam o nim nawet. Oddałeś mi mikrusa, a sam drapnąłeś jak złodziej, nie troszcząc się wcale, co się z nim stanie. Skazaliście bękarta na śmierć, równie pan, jak pański chlebodawca, nieboszczyk hrabia Jelski, który cię z bachorem do mnie przysłał... a teraz, gdy magnat wyciągnął kopyta, pan, jego faworyt, jego prawa ręka w różnych niezładnych sprawkach, przychodzisz się upominać o dziecko, które do ciebie nie należy... Ach! pojmuję wybornie dlaczego interesujesz się mikrusem! Nie taka ja głupia, jak się panu zdaje. Dowiedziałeś się, kto jest jego matką i chcesz jej zwrócić skarb zaprzepaszczony... no, ma się rozumieć, za grubą zapłatą...

— Źle tłómaczycie sobie moje zamiary...

— Idź pan, idź! Nie w ciemię ja bita!... Czy mnie bierzesz za prostą babę, która nie zna ludzi i w pole da się wyprowadzić byle jedwabnem słówkiem? Nie z jednego pieca chleb jadłam, a ocierałam się o świat wszelki, o górny i o dolny; poznałam oba dobrze... i wiem ile jest w nich podstępu, przeniewierstwa i błota. Przekonaną jestem, że w tej chwili nie przemyśliwasz nad czem innem, jak nad wyzyskaniem matki biednego malca, który w istocie obchodzi cię tyle, co mnie Ignacy...

Dygnęła przesadnie, dodając ironicznym i zarazem stanowczym tonem:

— Sługa pańska, panie Selimie... Widzisz jegomość, że wiem, jak się nazywasz... Otóż panie Selimie, nic się waść odemnie nie dowiesz!

Murzynowi zapaliły się w oczach płomienne błyskawice. Rzucił się na kabalarkę, jak gdyby chciał ją udusić, lecz ta odepchnęła go silnem ramieniem, aż się zatoczył.

— Spokojnie, mój czarnoludku, spokojnie! Prośbom twoim nie uczynię zadość, a gróźb się nie lękam. Tutaj, nie ośmieliłbyś się mnie zamordować, bo przedewszystkiem nie dałbyś jasnokościstej babie rady, chociaż chłop z waszmości nie ułomek, a nadto, bo rozumiesz doskonale, że gdybym narobiła wrzasku, znaleźliby się wnet w pobliżu pająki, którzyby cię na gorącym uczynku przycapili i powiedli do cyrkułu. Nie boję się więc pana dziś... a tem mniej w przyszłości, bo jutro będę daleko... bardzo daleko od Warszawy... pan zaś, gdy się dobrze zastanowisz, przyjdziesz niezawodnie do przekonania, że nie warto czepiać się takiej, jak ja czarownicy, która drwi sobie z podobnych do waści śmiałków.

— Nie chcesz nic powiedzieć?

— Nie chcę... i nie powiem — odparła ex-akuszerka z chłopskim uporem.

— A jednak wiesz, gdzie obecnie dziecko się znajduje?

— Może wiem... ale to już moja rzecz, nie pańska.

Roześmiała się głośno i nie skinąwszy nawet głową Selimowi, pomaszerowała sporym krokiem pod górę — drogą, wiodącą do Alei.

Niespełna w godzinę krzątała się już po swojej budzie na Solcu, rozniecając ogień w żelaznym piecyku. Cała pogrążona w dumaniach, nie rozmawiała ani ze ślepą, ani z Sabinką, które cichutko siedziały w kąciku.

„Co to wszystko ma znaczyć? — myślała — Czego odemnie żąda ten zatracony murzyn? Zjawia się po tylu latach... no, i po co?

Zaczęła rachować na palcach, przypominając sobie różne daty.

Dziesięć lat temu, jak obszył, przyszedł do niej z bębnem. Czyim?... Tego nie wie! Może mikrusiątko było dzieckiem jakiej kochanki hrabiego... a może hrabiny samej. Takiej tajemnicy — bez dowodów, albo przynajmniej wymownych jakichś poszlak — odgadnąć niepodobna!... Aż tu nagle, ni z tego, ni z owego, pisze list anonimowy, zaprasza na schadzkę do Łazienek... i bestya mąci w głowie. Może byłby zapłacił?... Ba! cóżby mu powiedziała?... Sama nic nie wie, chociaż z tego, co wiedziała dawniej, łatwoby dojść można, kędy bachor się obraca. Lecz tym razem Selim nie miał banknotów. O, gdyby miał, byłby wyjął... pokazał. Chciał po durnicy czegoś od niej się dowiedzieć, a ją samą wystrychnąć na dudka. Dobrze zrobiła, że mu nic nie powiedziała!

Ciupaga prostuje się, sięgając głową niemal do sufitu, a równocześnie puszcza w ruch nerwowy obie długie ręce.

— Nie miał monety — mruczy pod nosem. — Przysięgłabym, że nie miał!

Cała scena — tak, jak odbyła się niegdyś, przed dziesięciu laty — staje przed jej oczami.

Murzyn podał jej dziecko i rzekł: „Zrobicie, co się wam spodoba, chodzi jednak, żeby jak najśpieszniej nie pozostało po bękarcie ani śladu“. Zrozumiała od razu, że hrabia przez usta swego kamerdynera skazywał biedne stworzenie na śmierć i że to ona ma je w jak najkrótszym czasie życia pozbawić. Żeby nie uledz pokusie, zabrała zaraz maleństwo i zaniosła na plac Dzieciątka-Jezus — lecz nie położyła w kole, przeznaczonem dla podrzutków — tylko pod drzewkiem, tuż przy chodniku; sama zaś stanęła na rogu ulicy Święto-Krzyskiej... i patrzy. Po chwili spostrzega, jak jakiś młody człowiek, idący szybko, zatrzymuje się, pochyla nad malcem, okutanym w pieluszki, podnosi go ostrożnie z ziemi, zawija połą od płaszcza, poczem odchodzi. Ostrożnie, z daleka kroczy za nim. Młodzieniec dzwoni do jednego z domów przy ulicy Szpitalnej... i wnet znika za bramą. Ona dopada do niej i natychmiast zaczyna się dowiadywać o niego u stróża, który nie daje się długo prosić. Opowiada, że to student uniwersytetu, „uczący się na doktora“, że nazywa się Marcin Żarski; że mieszka z matką w malutkich dwóch pokoikach na trzeciem piętrze, w podwórzu. Te informacye wystarczyły jej najzupełniej. Nie pytała o nic więcej i z lekkiem sercem wróciła na Franciszkańską, nie myśląc już później o dziecku, zwłaszcza, że kapitalik tysiąca rubli — otrzymany od Selima — pozwolił jej rzucić się na jedno z setnych przedsiębiorstw, jakie po przybyciu do Warszawy podejmowała nieustanie — zawsze bez powodzenia.

Mogła to wszystko wyśpiewać Selimowi... Lecz na co?... Tajemnice tego rodzaju często niemałą korzyść przynoszą... Kto wie? może to właśnie ją wzbogaci!

Uspokojona długiem rozmyślaniem zabiera się do pakowania rzeczy w drogę.

Woła ślepą i Sabinkę i rozmawia z niemi wesoło o bliskiej podróży.

Żarska wierzy głęboko, że robi wyśmienity interes. Cieszy się, że opuszcza Warszawę — w której tyle wycierpiała — i równocześnie łudzi się nadzieją odszukania tam... na prowincyi... ukochanej Zosi, bo staruszce się zdaje, że nie podobna, aby dziewczynka pozostała w mieście.

. . . .

Selim przekonany głęboko, że Ciupaga wiedzieć musi, co się dzieje obecnie z synkiem hrabiny Jelskiej, oraz, że wydałaby niezawodnie ukrywaną tajemnicę, gdyby otrzymała za to poważną jakąś kwotę pieniężną — wrócił na ulicę Wiejską i udał się naprzód do swego pokoju na drugiem piętrze.

Od pewnego czasu czuł i rozumiał, że tak hrabina, jak Kazimierz Molski, pragną raz na zawsze kraj opuścić. Dosłyszane kiedy niekiedy przypadkiem nieostrożnie przez nich wymówione słówko, utrwalało go w tem mniemaniu. Otóż wyjazd ich rujnował jego plany, postanowił zatem, dziś jeszcze postawić wszystko na ostrzu noża i działać jaknajenergiczniej.

Wysunął walizkę skórzaną, ukrytą starannie pod łóżkiem, otworzył ją kluczykiem, wyjętym z kieszonki i wydobył z pod podwójnego dna walizki — pakiet, starannie owinięty bibułą i obwiązany szpagatem.

— To mnie wzbogaci! — szepnął do siebie, przecinając scyzorykiem szpagat i odsłaniając znany nam biały sznur jedwabny, którym niegdyś zwykła była opasywać się Marcelina.

Poczem schował go w zanadrze i zeszedł na parter, do apartamentów, zajmowanych przez swoją panią.

W jadalnym pokoju spotyka pokojówkę hrabiny.

— Czy pani u siebie? — zapytał.

— Tylko co wróciła z miasta. Słyszałam głosy w jej buduarze; pewno rozmawia z lubym. O! nasza pani łatwo i szybko pocieszyła się, w swojem wdowieństwie.

— Bo starego męża zbyt długo opłakiwać nie można — szepnął murzyn, uśmiechając się złośliwie.

— Czy to prawda, że nas pan opuszcza? Czy nie żal panu będzie naszej Warszawy?

— Dla służącego, panno Maryanno, tam przebywać miło, gdzie go lepiej płacą, a ja jadę do Paryża, kędy podobno wynagradzają nas teraz najsowiciej. Dawniej bywało rozmaicie, lecz obecnie, jak słyszę, ceny miały się potroić.

— Ma pan słuszność! Gdybym umiała po francusku i jabym natychmiast do Paryża poleciała, bo Paryż, jak powiadają, ma być piekłem dla koni, ale zato dla kobiet rajem prawdziwym.

— Zwłaszcza dla takich, jak pani, panno Maryanno.

Dziewczyna zarumieniła się po białka oczu i rzekła:

— Pan Selim chce się widzieć z panią... Czy mam pójść ją o tem zawiadomić?

— Dziękuję... proszę się nie fatygować... już ja sam się zaanonsuję.

To mówiąc, z swobodą człowieka, nie starającego się być zbyt grzecznym, otworzył drzwi, wiodące do buduaru. Zatrzymał się na progu, dostrzegł bowiem Marcelinę i Kazimierza, siedzących w dość znacznej od siebie odległości. Wydali mu się nadąsani, smutni, pogrążeni w głębokiem zamyśleniu.

Pierwsza ocknęła się hrabina i zawołała gniewnie:

— Od kiedyż to Selim pozwala sobie wchodzić do mnie bez wezwania lub zawiadomienia?

— Niech pani hrabina przebaczy mi moją śmiałość — rzekł murzyn, kłaniając się z udanem uszanowaniem. Przyszedłem podziękować za służbę. Dziś wieczór jadę do Paryża, skąd udam się może nawet do rodzinnego kraju, w Afryce, który dzieckiem opuściłem.

Poczem zamknął drzwi za sobą i stanął przy nich wyprostowany, przeszywając młodą parę ostrem i badawczem spojrzeniem. Twarz Marceliny powlekła się woskową bladością.

— Co jeszcze Selim ma mi do powiedzenia? — zapytała dumnie, tonem pogardliwym...

— Nie brałem pensyi przez trzy miesiące...

— Proszę pójść do pana rządcy, a on Selimowi co się należy wypłaci.

— Czy pani hrabina sądzi, że rządca będzie mógł uregulować mój zaległy rachunek? — odparł murzyn hardo i bezczelnie. Jestem pewny, że nie. Rachunek to znaczny i niezwykły, o czem wie najlepiej pan mecenas, który ciągle patrzy się na mnie, jakby chciał wzrokiem swoim przybić mnie do ziemi. Pan Molski, jako adwokat, rozumie prawdopodobnie, że znane mi są pewne fakta, nieczekające na ujawnienie, a które jednak ujawnić mogę. Piętnaście lat służyłem nieboszczykowi wiernie, a w ciągu tych lat piętnastu nic się przed oczami memi nie ukryło; to zaś, co widziałem na chwilę przed zgonem, oraz w chwili konania mojego starego pana, dotyczy wprost pani hrabiny i jej... jakże to powiedzieć... narzeczonego. Tak, narzeczonego!... Przypuszczam więc, że państwo oboje nie chcielibyście prawdopodobnie, abym szczegółowo opowiedział komu przypisać należy to, co się stało.

Kazimierz przejęty obawą, oniemiał. Nie był w stanie przemówić ani słówka. Chowa się za japoński parawan, ustawiony naprzeciw kominka, jakby pragnął ukryć za nim śmiertelną bladość swego czoła i strach, malujący się w błędnem spojrzeniu.

— Pan mecenas się boi — ciągnie dalej Selim, a głos jego dźwięczy gorzką ironią — pani zaś nie śmie mnie badać, o ile i w jaki sposób znaną mi jest straszna tajemnica, mogąca tak ją, jak jej narzeczonego stawić przed sądem karnym. Zresztą przyznaję, że byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną pytać o nią, bo oboje państwo przekonani jesteście, że wiem wszystko. Tak; przekonani jesteście, że widziałem równie panią hrabinę, jak pana Molskiego, wchodzących razem do pracowni mego pana w parę sekund po ucieczce „tamtego“... niewinnego... który utratą czci i wolności płaci zbrodnię przez was popełnioną.

— Ależ ja nie popełniłem zbrodni! — zawołał Kazimierz zdławionym i drżącym głosem. Ty wiesz o tem najlepiej... ty, który przyznajesz się bezwstydnie, że nas szpiegowałeś!

— Zbrodni nie popełniłeś pan istotnie, lecz pozwoliłeś jej dokonać. Nie chciałeś bronić hrabiego, bo pragnąłeś, aby kochanka pańska została wdową...

— Nikczemniku! — rzekł Kazimierz, zaciskając pięści — słowami, które teraz wyrzekłeś, wydałeś sam na siebie wyrok śmierci!

— Proszę do mnie się nie zbliżać, bo trupem położę — odparł Selim, wydobywając rewolwer z kieszeni. Czy sądziliście, żem głupiec?... że na konferencyę naszą przyjdę bez broni? Ależ przecie wiedziałem z góry, że uważać mnie musicie teraz za waszego śmiertelnego wroga, który wolność waszą i życie trzyma w swoich dłoniach, więc ostrożnym być musi. Od chwili, w której zamordowaliście hrabiego, zależnymi jesteście od mojej łaski i niełaski... lecz czekałem cierpliwie na właściwy moment, gdy dla mnie dogodnem będzie mówić, lub działać. Chciałem z dowodem rzeczonym stanąć przed wami... chciałem pani pokazać sznur, na którym nie zdążyłaś wyprać paru plam krwi, dotąd widocznych. Oto jest! Ukryliście go starannie, lecz wiedziałem gdzie... więc szukałem i znalazłem. Złożę go sądowi... albo doręczę ojcu pańskiemu, panie mecenasie... i powiem: „Składam sznur, którym uduszono hrabiego Jelskiego. Jeśli pan sędzia wątpi o prawdzie mego zeznania, to racz zapytać swego syna, który był wspólnikiem morderstwa“.

— O Boże, mój Boże! czuję, że oszaleję! — jęknął młody adwokat, tracąc przytomność. Hrabina nieruchoma, pozornie spokojna, wyczekująca, nie mieszała się dotąd do gwałtownej rozmowy, prowadzonej niemal ciągle szeptem, lub półgłosem. Przyciszony ton, jakim Selim dotąd przemawiał, obudził w jej bystrym umyśle mniemanie, że murzyn — pewny siebie — albo chce pomścić śmierć swojego pana, do którego (jako faworyt jedyny) mógł się w ciągu piętnastoletniej służby przywiązać szczerze — a wtedy grozi jej zguba nieuchronna — albo pragnie z tragicznej sytuacyi wyciągnąć dla siebie jaknajwiększą korzyść materyalną, więc należy układać się z nim natychmiast, bez uniesień i roztropnie.



Proszę się do mnie nie zbliżać, bo trupem położę..

Zbliżyła się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu rzekła słodko:

— Chcesz nas zgubić?... Czemu?... Czy co złego wyrządziliśmy ci oboje? W jakim celu grozisz nam denuncyacyą? Czy pragniesz zrehabilitować skazanego? Ależ go nie znasz przecie! Los tego człowieka obchodzić cię nie może... Czy masz prawo uskarżać się na mnie? Czy sprawiłam ci kiedykolwiek, choćby najlżejszą przykrość?

— Przez panią hrabinę cierpiał mój pan wiele... Dobry był dla mnie; wyciągnął z nędzy i błota, w którem tonąłem w Paryżu; wynagradzał zawsze sowicie... więc go żałuję i żałowałem... bardzo żałowałem nieraz. Nic przedemną nie ukrywał. Wiedziałem o wszystkiem, co zaszło między nim a panią hrabiną przed i po ślubie. Mówił mi, że podstępnie wciągnięty został do domu jej ojca, że zakochał się w pani szalenie... Mówił mi nawet o wyznaniu, jakie mu pani hrabina uczyniła, gdy się oświadczył o jej rękę...

Marcelina zachwiała się i zbladła.

— A potem — ciągnął murzyn dalej — o dziecku, które miałaś z innym i ukryłaś na wsi...

Nagła myśl, jak błyskawica, przeleciała przez mózg hrabiny.

— Rozumiem! rozumiem!... To ty je skradłeś!... ty jeden wiesz, gdzie jest i co się z niem stało! — krzyknęła wzruszona do głębi, załamując ręce.

— Wiem tylko, że żyje... lecz znam kobietę, która mogłaby je pani hrabinie zwrócić... jednak... — mruczał poprawiając się — pewny jestem, że nie odda... ani nawet wskaże, dopóki nie będę jej mógł powiedzieć: „Jestem bogaty. Masz tu oto dwadzieścia pięć tysięcy rubli, ale zwróć mi malca, którego ci przyniosłem przed dziesięciu laty“.

— Żądaj czego zapragniesz, lecz zwróć mi dziecko moje! Powiedz, wiele chcesz za nie?

— Wiele chcę?... ba, cząstkę zaledwie owych milionów, które pani hrabina skradła z kasy mego pana, ukrytej w murze pracowni, tam... w pałacu... w Alejach...

— Szatanie!

— Czy nie mówiłem, że wiem wszystko?...

Westchnął głęboko, przesuwając dłoń po czole. Poczem ciągnął dalej:

— Znałem i ja skrytkę oddawna. Nieraz widziałem hrabiego, jak chował do niej worki ze złotem i całe stosy banknotów. To też nabiłem sobie głowę milionami, z których nikt nie korzysta, które gniją marnie w ścianie pałacowej... zaprzepaszczone, bezużyteczne! Od chwili, gdy uśmierciliście hrabiego, nie miałem ani momentu spokoju. Dla tego was nie wydałem natychmiast, chociaż miałem szczerą ochotę pomścić mego pana, do którego byłem przywiązany, pomimo, że go szanować nie mogłem. Lecz to złoto tam, ta olbrzymia fortuna, leżąca w kasie żelaznej, o której zdawało mi się, że nikt prócz mnie nic nie wie, zamykało mi usta. Myślałem sobie, zakradnę się kiedy, gdy nikogo w pałacu nie będzie, odcisnę wnętrze zamku w wosku, a w kilka dni potem każę z odcisku kluczyk dorobić... i stanę się panem bogactw, z któremi w kraju rodzinnym, w pośród moich nieszczęśliwych, wyzyskiwanych, czarnych współziomków, dokonam wiele dobrego... Lecz pani hrabina mnie uprzedziła!... I mówią, że my ludzie biedni i niskiego urodzenia jesteśmy kanalie bez czci i wiary, że kradzież dla nas, to chleb powszedni. Gdzie zaś!... Pani przecie wielka dama... a pan, syn człowieka powszechnie szanowanego, o nieskalanej reputacyi... I cóż? Oboje, po spełnieniu wspólnie strasznej zbrodni, przyszliście chyłkiem, skrycie, nocą, żeby rabować i zagarnąć cudzą własność. Ktoby to mógł przypuścić? A jednak tak się stało. Miliony obecnie do was należą! Używacie ich razem, bo już nic was rozłączyć nie może... bo zjednoczeni mordem ohydnym, gotowi jesteście wspólnie popełnić dalej każdą nikczemność!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rzeź robotników przed hutą Katarzyny w Dąbrowie: Wojsko ukryte w podwórzu fabryki strzela do tłumu, zebranego przed fabryką. Oficer na froncie zabija strzałem rewolwerowym studenta Malińskiego.

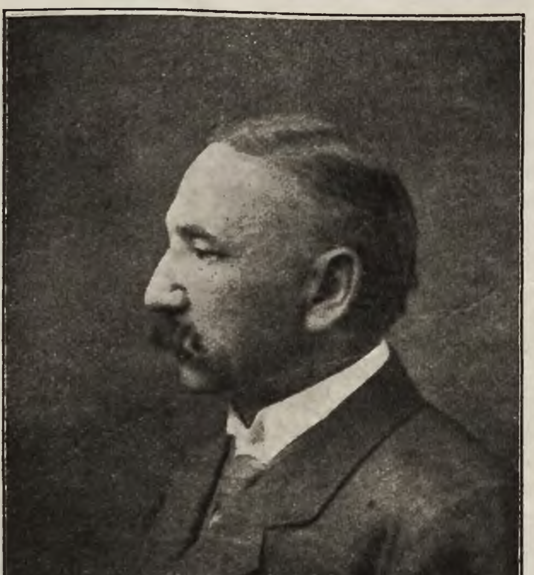
Rzeź robotników przed Hutą Katarzyny w Dąbrowie Górniczej.

Strejk w Zagłębiu Dąbrowskiem, ogarnął z żywiołową siłą pożaru, cały okręg górniczy. Wszystkie fabryki przystąpiły do zmowy i nigdzie, w żadnym wypadku, solidarność robotników złamaną nie została. Strejkujący okazali się na tyle względnymi, że wskutek próśb i przedstawień dyrektora Huty Katarzyny w Dąbrowie, zezwolili, by siedmiu strejkujących współtowarzyszy, powróciło do pracy w tejże hucie. Funkcye ich ograniczyć się miały do opalania i obsługiwania przez czas strejku, olbrzymich pieców, które pozostawione bez opalania, zamarzłyby i spowodowałyby milionowe straty właścicielowi.

Tymczasem dyrektor huty, niejaki Skawiński sprowadził potajemnie 30 robotników ze Szląska i przy ich pomocy kontynuował w dalszym ciągu pracę fabryczną. Podstęp nie długo się ukrywał i robotnicy miejscowi dowiedziawszy się o podejściu, zgromadzili się pewnego dnia demonstracyjnie przed gmachem fabrycznym. Przez wysłanych do zarządu delegatów, zażądali kategorycznie usunięcia śląskich robotników i bezwzględnego zastanowienia pracy w hucie.

W odpowiedzi na to — zanim delegaci powrócili z fabryki do swych towarzyszów — wypadła chmara zaczajonych w podwórzu kozaków na bezbronny tłum robotników. Oficer, dowodzący oddziałem, bez poprzedniego wezwania ludzi do rozejścia się — zakomenderował odrazu ognia. Padły dwie po sobie następujące salwy. Straszny był ich skutek! 24 ciał zasłało ziemię. Tłum nieprzygotowany na zetknięcie się z wojskiem, rzucił się w największym popłochu do ucieczki. Za uciekającymi strzelili jeszcze raz kozacy — i znowu 48 ludzi śmiertelnie zranionych upadło. Z tej liczby 20 natychmiast zmarło. Wśród zabitych znajduje się prócz dwóch kobiet i student VII. klasy Maliński, który przypadkowo znalazł się na miejscu rzezi. Młodego chłopca pozbawił życia, dowodzący pijanem kozactwem oficer, przyłożywszy mu do skroni lufę rewolweru.

Moralnym, a bezpośrednim sprawcą tej masowej rzezi bezbronnych robotników, jest dyrektor Huty Katarzyny, Skawiński. Obawiając się gwałtownego wystąpienia robotników, ukrył w zabudowaniach fabryki zarekwirowanych sołdatów. Gdy zaś delegaci strejkujących wystąpili z żądaniem zatrzymania pracy, na dany przez dyrektora znak, wypadli sołdaci i spowodowali masowy mord strejkujących.



S. p. Piotr Habliński, naczelnik administracyi podatków w Krakowie.

Ś. p. Piotr Habliński.

Ciężkie nieraz są obowiązki urzędnika z ramienia rządu, tem cięższe, o ile dany osobnik nie zapomina o tem, że obowiązki służby rządowej trzeba umieć pogodzić z obowiązkami obywatelskimi, i że urzędnik nie jest tylko ślepym wykonawcą ustaw, ale zarazem członkiem społeczeństwa, wśród którego ustawy owe wykonywa.

Typem takiego urzędnika-obywatela był świeżo zgasły ś. p. Piotr Habliński, starszy radca skarbowy i naczelnik administracyi podatkowej w Krakowie. Zmarły był wzorowym urzędnikiem, biegłym w prawie, zwłaszcza w dziale skarbowości i podatków — nieskazitelnym człowiekiem, wzorowym mężem i ojcem. W czasie niedługiego swego urzędowania miał wielu niechętnych, a nawet i wrogów. Pochodziło to jednak stąd, że niewtajemniczeni w przepisy i wymogi ustawy — mylnie, a niesłusznie przypisywali nieboszczykowi wszystkie nieuniknione przykrości, połączone z bezwzględnem ściąganiem podatków. Nieboszczyk był surowym urzędnikiem – to prawda, nigdy nim jednak nie powodował ani osobisty interes, ani osobista niechęć względem tych, którym mimo swej woli musiał się dać we znaki.

Piotr Habliński kończył gimnazyum w Samborze, a studya uniwersyteckie we Lwowie, poczem wstąpił do służby skarbowej we Lwowie. W tym samym charakterze służył w Krośnie i Śniatynie, a w r. 1893 przybył jako radca skarbowy do Krakowa, gdzie też został przydzielony jako kierownik byłej komisyi podatkowej — przekształconej następnie na „administracyę podatkową".

Ś. p. Habliński umarł w pełni sił, bo liczył zaledwie 50 kilka lat życia, a śmierć, której powodem była zadawniona choroba serca — przyszła zupełnie niespodziewanie.



Złote wesele: Pp. Pantoflińscy, obywatele miasta Żywca.

Złote wesele.

Piękne miasto Żywiec było świadkiem podniosłej uroczystości w dniu 18 lutego. Warunki w jakich żyje większość ludzi dzisiaj, w jakich walczą z dnia na dzień i borykają się z przeciwnościami najróżnorodniejszemi, sprawiają, że nikt nie myśli o tem, by doczekał późnej starości. Nawet najsilniejsze organizmy, życie niszczy przed czasem i zaledwo jednostki trafiają się, co mogą cieszyć się szczęściem dzieci wnuków i prawnuków i w spokoju na stare lata, w kółku rodzinnem pośród wszystkich sobie najdroższych dokończyć żywota.

Szczęścia takiego są uczestnikami państwo Pantoflińscy, którzy dnia 18 lutego obchodzili złote wesele. Pięćdziesiąt lat już upłynęło im we wspólnem pożyciu i aby uczcić uroczystą chwilę zaślubin, myślą przejść wszystkie przeżyte ze sobą lata, święcili państwo Pantoflińscy uroczyście tę dla nich tak podniosłą rocznicę.

Pantoflińscy są w Żywcu powszechnie znanymi obywatelami i cieszą się ogólnym szacunkiem.

Licznie zebrana rodzina, dzieci, wnukowie, prawnukowie i publiczność żywiecka, obchodzili wspólnie złote wesele państwa młodych, którzy już zaczęli ósmy krzyżyk życia.

Dom Romanowych.

Krwawe wypadki ostatnich dni, jakich widownią była Rosya, zwróciły na nią uwagę całego świata. Nie ma chyba człowieka, bez względu na różnicę narodowości i przekonań, któregoby oburzeniem i grozą nie przejęły niesłychane nadużycia i bezprawia, dokonywane w imieniu idei „samodzierżawia“, na gnębionej ludności. Bezwzględnym, strasznym odwetem, a zarazem i przestrogą dla koronowanych ciemiężycieli — był zamach wykonany na osobie najbliższego krewnego panującego, stryja carskiego: wielkiego księcia Sergiusza. Najbliższa rodzina carska uszczuploną więc została o jednego współczłonka. Dość ciekawą rzeczą będzie przypomnieć sobie, jak obecnie przedstawia się dom Romanowych? Otóż obecnie panujący car Mikołaj II., jest synem cara Aleksandra III. który zmarł wskutek zgniecenia podczas katastrofy kolejowej pod Borkami, w 1894 roku. Mikołaj II. liczy obecnie 37 lat życia, a na tronie zasiada lat 11. Nosi on urzędowo główny tytuł samodzierżcy Wszech-Rosyi, prócz tego dodatkowe: cara moskiewskiego, kijowskiego, włodzimirskiego, nowogrodzkiego, i astrachańskiego. Króla (!) polskiego, króla Syberyi, Hersonesu taurydzkiego, pana na Pskowie, wielkiego księcia Smoleńskiego, wielkiego księcia Litwy, Wołynia i Podola, wielkiego księcia Finlandyi, księcia Estlandyi, Liwlandyi, Kurlandyi etc. etc. Ożeniony z ks. Alicyą Heską, która przyjąwszy prawosławie, jako W. ks. Aleksandra Teodorówna, oddała Mikołajowi rękę.

Do niedawna carostwo pozbawieni byli męzkiego potomka, a zarazem następcy tronu. Desygnowanym spadkobiercą korony był więc młodszy brat cara, wielki książę Michał.

Zeszłego roku w lecie, doczekał się wreście Mikołaj syna i w jego osobie ma już dziś naturalnego dziedzica samodzierżawia.

Eo ipso brat carski Michał, pozbawiony został różnych prerogatyw i tytułów połączonych z godnością następcy tronu. Car ma prócz syna jeszcze 4 starsze córki „w. księżny“: Olgę, Tatianę, Maryę i Anastazyę.

Rodzeństwa, ma car Mikołaj troje, a są niemi: W. ks. Ksenia, wydana za W. ks. Aleksandra Michałowicza, W. ks. Olga, która wyszła za księcia Oldenburskiego i wreście młodszy brat, ów niedoszły następcy tronu wielki książę Michał.

Matką Mikołaja jest Marya Teodorówna wdowa, po zabitym pod Borkami carze Aleksandrze III. Jest ona córką żyjącego do dziś dnia sędziwego króla duńskiego Chrystyana IX. Zanim wyszła za cara i przyjęła prawosławie — była protestantką i miała imię Dagmary.

Zabity w Moskwie stryj cara, wielki książę Sergiusz, ożeniony był z księżną heską Elżbietą — przeinaczoną potem na Jelizawetę Teodorównę. Jest ona rodzoną siostrą obecnej carowej, a więc w stosunku do cara pozostaje w podwójnem pokrewieństwie: raz jako szwagrowa (rodzona siostra żony), powtóre jako stryjenka (żona rodzonego stryja). Była to nieszczęśliwa ofiara zazwierzęconego w rozpuście i pijaństwie człowieka. Obecnie uwolniona od niego przez losy — zamierza na zawsze opuścić Rosyę i powrócić do swej ojczyzny. Małżeństwo to było bezdzietne.

Drugim stryjem cara, jest wielki książę Włodzimierz (figurujący również jako drugi na proskrypcyjnej liście rewolucyonistów). Zemknął on przed zaburzeniami do Paryża. Żonaty z księżną meklemburską, ma trzech synów, z których dwaj starsi Cyryl i Borys, brali udział w wojnie na dalekim Wschodzie. Najmłodsza córka Włodzimierza Helena, wydaną jest za następcę greckiego tronu księcia Mikołaja.

Prócz tych dwóch stryjów ma jeszcze car dwóch młodszych: Aleksego i Pawła.

To jest najbliższa carska rodzina, która prawdopodobnie odegra pewną rolę w bieżących zdarzeniach Rosyi.

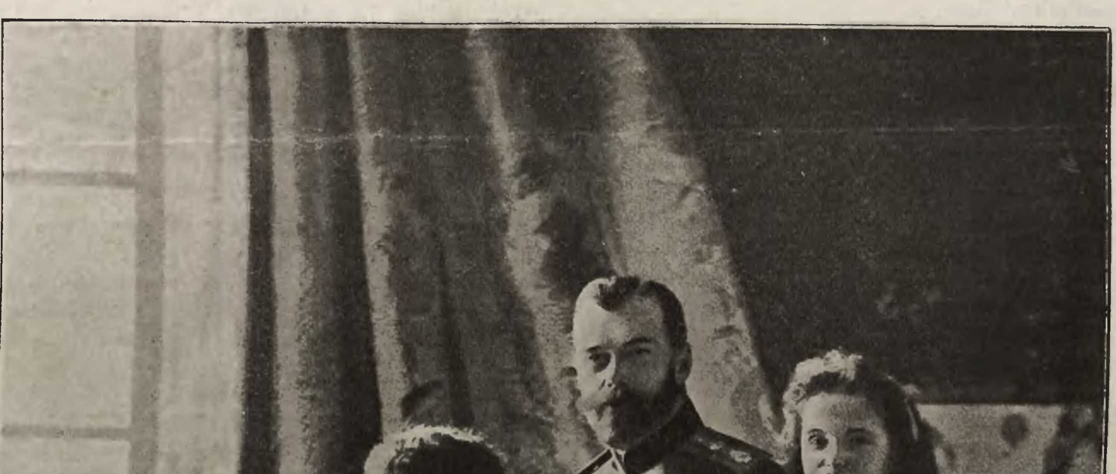
Bł. p. Dr. Leon Horowitz.

Rada miasta, a z nią i Kraków poniósł w ostatnich dniach dotkliwą stratę. Ubył z jej grona człowiek światły, wytrawny i miłujący swoje gniazdo rodzinne.

Zmarł b. p. Dr. Leon Horowitz. Chcąc pośmiertną sylwetkę nieboszczyka skreślić — trzeba by się cofnąć myślą blisko o jakie 30 lat wstecz.

Trzydzieści lat bowiem życia strawił Horowitz na służbie publicznej, i służbie około dobra miasta. Działalność ta była piękną i owocną.

Horowitz, człowiek skromny usuwający się zawsze na plan drugi, pracował wytrwale i z zapałem, a miasto zawdzięcza mu wiele — i dziś nad jego otwartą mogiłą wszyscy bez różnicy przekonań i konfesyi jednoczą się w żalu i uznaniu dla zmarłego, nie mówiąc już o tem jak ciężką



Dom Romanowych: Car Mikołaj II, jego żona carowa Aleksandra Feodorówna, w. księżniczki: Olga, Tatiana, Marya i Anastazya, a na ręku carowej mały następca tronu Aleksy.



Majsterskie kursa w Krakowie: Grupa majstrów i wyzwolonych czeladników, uczęszczających na wykłady.

jest dla gminy izraelickiej i współwyznawców zmarłego — śmierć jego.

Bł. p. Dr. Leon Horowitz był adwokatem — i niezwykle zdolnym prawnikiem. Bo też praktykę zawodową czerpał u takich mistrzów palestry, jakim był swojego czasu adwokat Geisler i Komar. Gdy potem na własną rękę otwarł biuro adwokackie, zjednał sobie od razu obszerną i wyborową klientelę. W tym zawodzie dał się też poznać nietylko jako wytrawny prawnik, ale i jako człowiek nieskazitelnego charakteru, uczynny i dbający o dobro publiczne.

W r. 1878 widzimy Horowitza już w Radzie miejskiej i od tego też czasu piastował aż do śmierci swojej, bez przerwy mandat radziecki.

Dla jego zalet i obszernej wiedzy powoływano nieboszczyka do najważniejszych sekcyi i komisyi. Pracował zatem w sekcyi prawniczej i szkolnej, w komisyach: akcyzowej, statutowej, budowy teatru, wodociągowej i inwestycyjnej.

Prócz tego był członkiem Wielkiego Wydziału Kasy oszczędności miasta Krakowa. Ze zdaniem Horowitza liczyła się cała Rada miejska. Sąd jego był bowiem zawsze trafny, jasny i bezstronny. Nieporównanie cięższą od miasta stratę — ponoszą współwyznawcy nieboszczyka. Przed laty 12, po ustąpieniu Mendelsburga, wybrany został prezydentem Rady wyznaniowej.

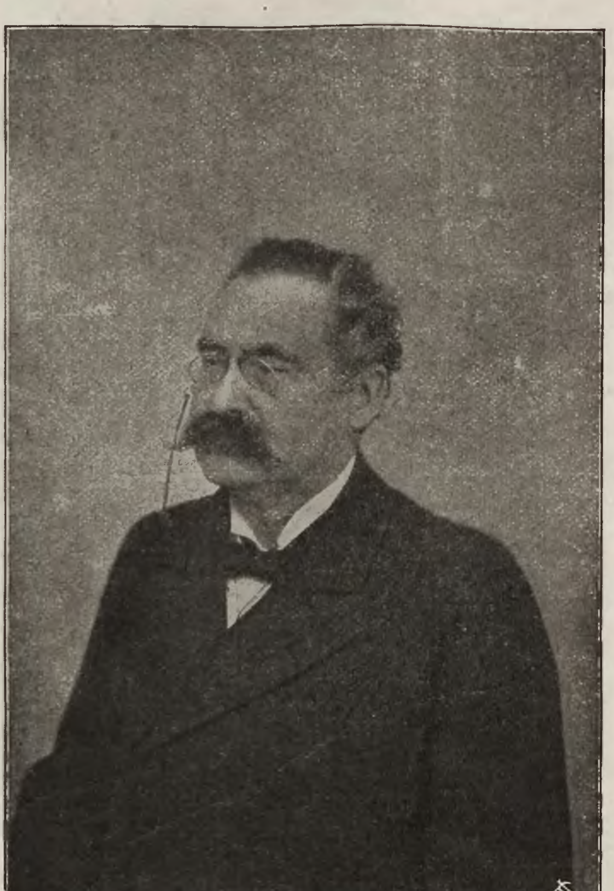
Większą część życia i sił swoich poświęcił on swej gminie. Jemu zawdzięczają żydzi uregulowanie spraw szpitalnych i rozszerzenie szpitala; przebudowanie i odnowienie synagogi postępowej i zaprowadzenie w niej polskich kazań, co z naciskiem podnosimy. U współwyznawców słynął przysłowiowo z swej dobroczynności. Był to prawdziwy opiekun biednych i nieszczęśliwych żydów. Liczne te zasługi obywatelskie zjednały mu wysokie odznaczenie cesarskie: otrzymał bowiem order Franciszka Józefa.

Bł. p. Horowitz zmarł w 61 roku życia. Pozostawia pogrążoną w żalu wdowę i dwie zamężne córki.

Na znak żałoby wywiesił magistrat na budynku magistrackim żałobną chorągiew, a deputacya Rady miasta z prezydentem na czele, wyraziła imieniem miasta swoje współczucie pozostałej rodzinie.

Majsterskie kursa w Krakowie.

Każde rzemiosło traktowane z zamiłowaniem i oddaniem się, może dzięki pilności i staranności pracującego, stanąć bardzo wysoko, może przejść nawet w dziedzinę artyzmu. Podobnie, jak i na odwrót sztuka zbywana po rzemieślniczemu przez wykonawcę, spada ze swego poziomu do rzędu rzemiosła, nie rzadko i partactwa. Stąd to pochodzi, że mamy wielu rzemieślników-artystów doprowadzających swój fach do doskonałości graniczącej z prawdziwą sztuką — jak również mamy o wiele więcej pseudo-artystów traktujących sztukę jako rzemiosło. Mistrzostwo w obranym fachu, a przynajmniej zbliżenie się do tego, było w dawnych czasach wyraźnemi przepisami określone i wymagane. Wiemy z historyi cechów, że dopóty czeladnik nie mógł być „wypisanym“ t. zn. nie awansował na „majstra“, dopóki nie wykonał „majstersztyku“, t. j. pewnego rodzaju arcydzieła w swym fachu. W dzisiejszych czasach wyzwoliny czeladnika na majstra nie są tak surowo przestrzegane. Rostrzyga zazwyczaj w tym wypadku nie tyle uzdolnienie, jak raczej ilość lat odbytej praktyki.



Bł. p. dr. L. Horowitz, adwokat kraj. i radca m. Krakowa.

Ażeby robotnikom dać możność artystycznego wydoskonalenia się w swym fachu — stworzono w Krakowie od niedawna t. zw. „kursa majsterskie“, będące rodzajem dopełniających kursów dla tych rzemieślników, którzy nie przestali li tylko na technicznej biegłości w swym zawodzie, ale pragną nabyć smaku artystycznego.

Siedziba tych kursów, obejmujących naukę szewstwa, krawiectwa, artystycznego stolarstwa i budownictwa — mieści się w szkole barakowej przy ulicy Lubicz. Kursa te były stosunkowo dość pilnie uczęszczane, gdyż ogólna liczba uczniów doszła w tym roku do 50. Wśród słuchaczów, których większość stanowili czeladnicy, nie brakło i kilku majstrów. Prócz nich, jako wolni słuchacze, zapisali się na kurs stolarski i architektury pp. Bukowski artysta-malarz i młody, a chlubnie już znany architekt Fr. Mączyński. Uroczyste zamknięcie w tym roku kursów, odbyło się dnia 15 lutego. Przy akcie tym był obecnym z ramienia gminy miasta I. wiceprezydent miasta, M. Chyliński, kilku radców miasta, instruktor stowarzyszeń przemysłowych dr. Schoenett i wielu poważnych majstrów. Nadmienić należy, że profesorami kursów byli pp. Bumerl (krawiectwo), Demel (stolarstwo) i Kühn (szewstwo).

Wystawa prac urządzona przy kursach, daje chlubną miarę postępu artystycznego uczniów i uprawnia do nadziei, że i w przyszłości odpowiedzą kursa w zupełności swojemu zadaniu.

Maksym Gorkij w więzieniu.

Wiadomą jest rzeczą, że inteligencya rosyjska jest i była jedną z głównych podpór i pancerzów akcyi rewolucyjnej. Ci, którzy zdobyli wiedzę, dla których życie w więzach i pętach despotyzmu było nie do zniesienia, gdyż nietylko krępowało wolny rozwój narodu, ale i zabijało wszelką myśl swobodną, ci byli pierwszymi bojownikami o wolność i swobodę wszystkich ludzi mieszkających w Rosyi. Z czasem dopiero przedostało się uświadomienie do mas ludowych i obudzono w nich żądzę swobód politycznych. Z czasem dopiero lud, prowadzony przez wybitniejsze z pośród siebie jednostki, porwał się do walki sam, zrozumiawszy, że jest siłą i potęgą.

Styczniowe zajścia w Petersburgu były dowodem, że lud naprawdę potrzebę walki zrozumiał i że gotów jest walczyć do upadłego. Ale za tym masowym ruchem stały szeregi inteligencyi, stali profesorowie uniwersytetów, adwokaci, lekarze, ziemstwa, obywatelstwo, kupcy, mieszczanie i stu-

denci, wszyscy solidaryzujący się z tą walką i popierający ją czynnie i moralnie.

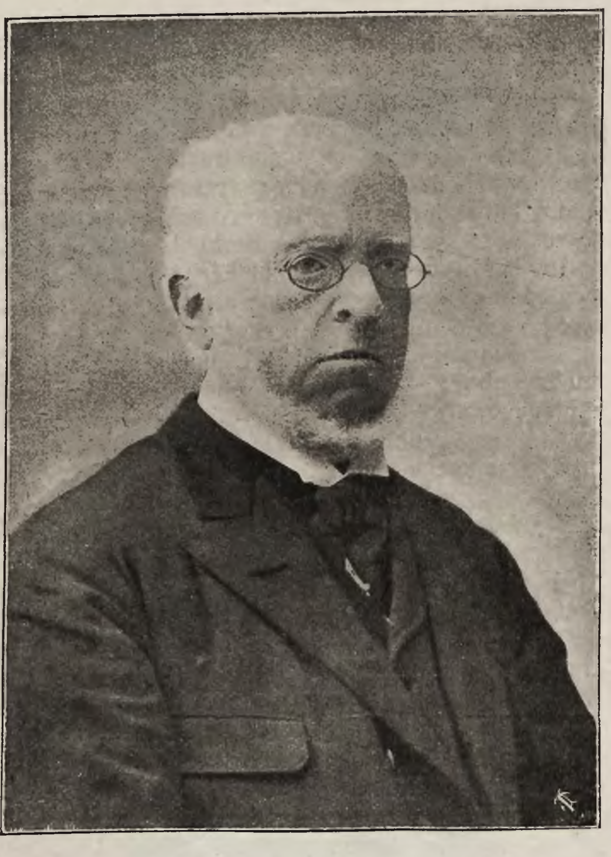
Ruch wolnościowy ogarnął w Rosyi teraz tak szerokie koła, że zwycięstwo musi być po jego stronie. Ruch ten ma taką moralną przewagę, że zadecyduje on wkrótce o losach Rosyi i o losach tych wszystkich narodów, jęczących w niewoli carskiej, a powstających do walki o swe prawa.

Maksym Gorkij był oddawna jednym z widomych bojowników wolności! Imię jego znane było wśród najszerszych warstw, jako nietylko wybitnego pisarza i dramaturga, ale jako gorącego i żarliwego rewolucyonisty. To też z chwilą, gdy walka na ulicach Petersburga wybuchła, rząd carski wysiłał się, by ująć przywódców, których znaleźć spodziewał się w szeregach liberalnej inteligencyi. Aresztowano wtedy wiele osób ze świata dziennikarskiego i literackiego, a między aresztowanymi znalazł się i Maksym Gorkij. Wsadzono go do więzienia i traktowano na równi z siedzącymi tam opryszkami i rzezimieszkami. Nie pozwolono mu pozostać w swem ubraniu, lecz ubrano go w aresztanckie. Strawy nie pozwolono mu przynosić z domu, lecz zmuszano go odżywiać się jadłem więziennem. Nie pozwolono mu zajmować się pracą literacką, a wszystko robiono, by więźniowi wyrządzić jak najwięcej przykrości!

Sama cela więzienna, w której siedział, była tak niehygieniczna, że w dwa tygodnie po aresztowaniu Gorkij zachorował na tyfus. Nawet żonie nie pozwolono się widywać z mężem!

Cały świat cywilizowany wystąpił w obronie słynnego pisarza i wszyscy domagali się uwolnienia Gorkiego. We wszystkich krajach europejskich zbierano podpisy w celu wydobycia z więzienia jednego z najzacniejszych obywateli narodu rosyjskiego, ale rząd carski był nieugiętym i mimo opinii całego świata Gorkiego nie uwolnił.

Rycina nasza przedstawia, jak żona Gorkiego przybyła do więzienia, by widzieć się z mężem. Żandarmi wyprowadzają z celi Gorkiego, ubranego w więzienne odzienie, do przedziału, oddzielonego kratą żelazną. Smutek bije z twarzy więźnia, smutek nie z powodu tego, że go osadzono w więzieniu za poświęcenie, z jakiem walczył o prawa narodu, smutek, że zabrano mu nawet okruchy tej swobody i wolności, jaką się cieszył przed aresztowaniem, że spętano go i przemocą gwałtu odebrano mu wszystkie prawa, jakie mieć musi ten, kto naprawdę czuje się człowiekiem.



Śmierć nadwornego malarza pruskiego: Adolf Menzel zmarły niedawno w Berlinie artysta.

Śmierć nadwornego malarza pruskiego.

Są pewne fenomena w sztuce, które, jeżeli nie imponują nam nawet siłą twórczości — w zadziwienie wprawiają niespożytością swych zdolności i wytrwałością w tworzeniu. — Są to oczywiście przeciętne siły, które nie zdobyły się nigdy na stworzenie pomnikowego dzieła mogącego zapewnić nieśmiertelność ich twórcom lub stanowiącego pewien znamienny etap w dziejach sztuki.

Jednym z takich pilnych, wyszkolonych pracowników — w dziedzinie malarstwa — był świeżo zmarły w Berlinie „nadworny“ malarz Adolf Menzel.

Menzel dożył bardzo późnego wieku, liczył bowiem lat blisko 90. Sława jego nie przekraczała granic jego ojczyzny, urodził się, tworzył i umarł w Prusiech. Jego prace obiegły Niemcy — interesowano się niemi nawet chwilowo i za granicą. Znaczenie jednak swojej artystycznej marki zawdzięcza nie tyle może talentowi swemu, ile faworowi dworu pruskiego.

Jego malowidła odnoszą się przeważnie do historyi niemieckiej — ściślej mówiąc do historyi dworu niemieckiego. Najlepszym dowodem prace jego, które pozyskały duży rozgłos w Niemczech. Wymienimy tu tylko najlepsze: jak: „Fryderyk Wielki przy stole w gronie przyjaciół“, „Stary Fryc“, „Jenerał Ziten“, „Król Fryderyk popisujący się wobec dworu grą na flecie“ i t. p.

Co do rodzaju twórczości swojej był Menzel naturalistą. Obrazy jego noszą na sobie piętno wypracowania pilnego, bystrej obserwacyi, nie ma w nich jednak śladu polotu poetyckiego i fantazyi, cechującej prawdziwych mistrzów pędzla.

Śmierć Menzla była wypadkiem dnia w Berlinie. Nadwornemu malarzowi trzech pokoleń cesarskich — złożył Wilhelm osobiście hołd pośmiertny a nawet przy eksportacyi zwłok był obecnym.

„Mistrz“ zostawia po sobie pewną lukę w sferach dworskich Berlina. Sztuka niezależna od faworów i kaprysów władców tego świata — przejdzie nad nim prędko do porządku.



Maxym Gorkij w więzieniu: Żona Gorkijego, przybyła w celu odwiedzenia chorego męża w więzieniu, rozmawia z nim pod strażą żandarmów.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

23 (Dokończenie).

A i stary Hans spoglądał miłościwie na młodą parę, ale coraz bardziej chodził zamyślony i niespokojny. Spostrzegli to Frendenbergowie, ale tłomaczyli sobie, że stary sługa swą niechęć do Edwarda, aż do dziwactwa posuwa.

* * *

Było to w kilka dni po wysłaniu listu z denuncyacyą o pobycie Ryszarda. Zdziwił się i przeraził Frendenberg, gdy przyjechało dwóch nieznajomych, którzy się przedstawili, jako wysłannicy policyi. Byli to komisarz Greif i ajent Spür. Wykazali się pozwoleniem tutejszego sądu do podjęcia akcyi urzędowej.

Frendenberg zaprowadził ich do swego gabinetu, gdzie swobodnie rozmawiać było można.

— Przedewszystkiem prosiłbym pana zastanowić się — rzekł Greif — czy nieznane panu to pismo.

To rzekłszy, pokazał Frendenbergowi list Edwarda z denuncyacyą. Zaledwie Frendenberg rzucił okiem, nie czytając listu, rzekł spokojnie:

— To pismo mojego bratanka, jeżeli się nie mylę.

— Oryginalne? prawda? — rzekł Greif. Wpada w oczy.

— Tak, istotnie; on ma pismo charakterystyczne.

— Pański bratanek zapewne bawi u pana? — pytał Greif.

— A tak. Przyjechał tu ze swoim przyjacielem z Ameryki, panem Knorem.

— A! przyjaciel z Ameryki!

— Razem dorabiali się majątku.

— Czy mógłbym poznać się z tymi panami?

— Knor wyjechał przed kilku dniami, otrzymawszy telegram, a mój brataniec zapewne jest w domu?

— A i owszem, jeżeli pan łaskaw, ale proszę go nie uprzedzać o naszem przybyciu. Bardzo pana proszę. Wogóle nikt nie powinien wiedzieć, kim jesteśmy.

— Nie rozumiem panów. Tajemnica, której żądacie panowie, zadziwia mnie.

— Pozwoli pan, że to wytłumaczę później. Zanim będę miał przyjemność poznać pańskiego bratanka, chciałbym jeszcze widzieć się z baronem Steinfelsem.

Frendenberg struchlał, ale opanował się i rzekł spokojnie:

— Baron Steinfels chory. Nie wolno mu jeszcze wstawać z łóżka.

— W takim razie poproszę, aby nas przyjął w swojej sypialni.

— Nie wiem, czy lekarz na to zezwoli.

— Słuszna uwaga. Niech pan raczy posłać po lekarza.

Frendenberg zadzwonił. Wszedł Hans.

— Poprosisz tu pana Edwarda i wyprawisz konie po naszego lekarza, aby przyjechał odwiedzić barona.

— Proszę łaski pana, pana Edwarda nie ma. Poszedł do lasu, jak zwykle.

Greifowi się wydało, że stary sługa wypowiedział ostatnie wyrazy z niezwykłym, a znaczącym naciskiem.

— Czy to pański bratanie poluje tak zawzięcie, że zwykle przebywa w lesie?

— Tego wcale nie dostrzegłem. Wyobrażam sobie, że lubi piękność przyrody, a wreszcie czyni to z nudów. Młody, nie ma towarzystwa dla siebie, baron Steinfels chory, przyjaciel jego, pan Knor wyjechał...

— Rozumiem, pojmuję. Może pan jeszcze pozwoli, że poproszę o wyjaśnienie, czy i to pismo podobne do pisma pańskiego bratanka?

To rzekłszy dobył Greif ów kwitek, znaleziony w mieszkaniu zamordowanej Izabeli, a potwierdzający dług, należny Ludwikowi, w kwocie dwóch tysięcy marek.

— Zdaje mi się, że to również pismo mojego bratanka. Ale do czegóż to wszystko zmierza? Tak się pan interesuje moim bratankiem, jakby panu coś na tem zależało. Przecież nie sądzę, aby przybycie pańskie mogło mieć jaki związek z jego osobą.

— Raczy pan być cokolwiek cierpliwym, wszystko się wyjaśni. Tymczasem niech pan zechce opowiedzieć nam dokładnie, jak wygląda ów amerykański przyjaciel pana Edwarda?

— Ależ panie Greif, wszakże ja nie jestem w śledztwie, ani też nie mam obowiązków policyjnych.

— A niechże też to pana nie obraża, o co proszę. Sprawa to bardzo poważna, bo tu rozchodzi się o cześć i życie, prawdopodobnie niewinnego, człowieka. Udzielając nam potrzebnych wyjaśnień, spełni pan obowiązek uczciwego człowieka, a może nawet obowiązek własnego serca, bo o ile mi wiadomo baron Steinfels doznaje u państwa takich względów, jakimi się otaczać zwykło tylko bliskie sercu osoby.

— Steinfels?! Edward?! Knor?! Jakiż związek między nimi? — zapytał Frendenberg ogromnie zaniepokojony.

— Zaraz się rzecz wyjaśni, bodaj w części, jeżeli pan zechce podać mi dokładny opis pana Knora.

— Po tem, co mi pan powiedziałeś, nie usuwam się.

Frendenberg opisywał dokładnie i szczegółowo postać Ludwika, a Greif słuchając dziwnie zadowolniony miał wyraz twarzy, oczy mu się rozpromieniły, twarz jaśniała radością, wyglądał jak człowiek, co znalazł skarb upragniony.

— Dziękuję panu najgoręcej. Ale jeszcze jedna prośba. Niech pan pozwoli rozmówić mi się ze swoim starym służącym. Spodziewam się, że ta rozmowa, odsłoni nam rzeczy bardzo ciekawe, a dla pana niespodziewane.

— To wszystko zaczyna być tak drażliwem, że nie mogę bez wahania i bez pewnych zastrzeżeń spełnić żądania pańskiego. Wszakże mój bratanek... moje nazwisko... cześć mojego rodu.. Hans jest starym i wiernym sługą, jest jakby przyjacielem rodziny, jednakowoż, gdyby coś kompromitującego... Zresztą jestem pewien, że odmówi nieznajomym wyjaśnień. Przytem zwracam uwagę pańską, że ten człowiek ma, skutkiem wieku swojego, pewne dziwactwa i dlatego powziął jakąś niechęć do mojego bratanka.

— Ponownie zaklinam pana o użyczenie mi pomocy w wyświetleniu prawdy. Właśnie cześć nazwiska pańskiego, cześć pańskiego rodu, domaga się tego, aby się wszystko wyjaśniło tu, w pańskim domu i to jak najprędzej. Uznaję słuszność uwagi, że stary sługa mógłby być podejrzliwym, i nie powiedziałby wszystkiego, co myśli. Dlatego bardzo proszę, aby nam pan pozwolił być w przyległym pokoju, a sam go zapytał, co sądzi o wycieczkach leśnych pana Edwarda. Uczyni pan tem największą przysługę sobie samemu i czci swojego zacnego nazwiska. Mówię do pana, nie jako komisarz policyi, ale jako człowiek, który umie odczuwać różne niedole ludzkie.

— Niech i tak będzie — odpowiedział Frendenberg — otworzył wysłannikom drzwi do przyległego pokoju i zadzwonił na Hansa.

Wszedł stary sługa zachmurzony, smutny, niespokojny.

— Co tobie jest Hans — zapytał Frendenberg. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek taki był przygnębiony jak teraz. Co to jest?

— Ej, co mam mówić, kiedy pan wierzyć nie chce. A mnie wciąż w głowie, że to wszystko coś złego. Ten amerykański niby odjechał. Hej, hej, nie odjechał on nigdzie; to tylko taka sztuczka. Pan Edward wciąż przesiaduje w lesie, a niby po co? a w zbójeckiej jamie też ktoś jest. Leśny mi powiedział, że tam w nocy widać było ogień. Któżby tam palił?

— Może złodzieje.

— E, proszę łaski pana, nie ma takiego złodzieja, coby się tam odważył iść w nocy. Ja tak kombinuję, że ten amerykański tam siedzi, a pan Edward do niego dochodzi i coś radzą, a jużcić że nic dobrego.

— Człowieku! co też ty pleciesz? Edward miałby się ukrywać z panem Knorem po lasach? po co? czyżby nie mogli i tu radzić, u siebie w pokoju?

— Kiedy amerykańskiemu już tu być nijako. On się czegoś boi pani baronowej. Stangret się dziwił, czemu ten amerykański schował się gdzieś na kolei, jak tylko panią baronową zobaczył. Pewnie pani baronowa zna go nie z Ameryki, a on się tego zląkł i udał że odjeżdża, a tymczasem ukrył się w zbójeckiej jamie, żeby z panem Edwardem dokończyć roboty, którą zaczęli.

— Jakiej roboty? Co się tobie przywiduje? Hans! Tyś zgłupiał na stare lata.

— Niech i tak będzie proszę łaski pańskiej. Ja karego dobrze obejrzałem. Zapłaciłem ze swego weterynarzowi, żeby mu zajrzał do brzucha. Panie! koń był zatruty prochem i dlatego się wściekał, i dlatego pana barona strącił i dlatego pan baron choruje. A tego prochu kary sam sobie nie nasypał do pyska.

— Boże święty! co się tu dzieje, co ty gadasz! Idź już idź, bo mi głowa pęknie. A poproś tu pani baronowej do mnie.

Wyszedł Hans, a po chwili ukazała się Hania.

— Wybacz kochana pani, że cię trudzę. Coś tu Hans baje, że przyjaciel Edwarda pan Knor z Ameryki, zobaczywszy cię na stacyi, uciekł przed tobą.

— Nie znam żadnego pana Knora, tylko towarzysz pana Edwarda wydał mi się tak podobnym do jednego łotra, że zadrżałam na jego widok. Niecierpliwie wyczekuję powrotu pana Knora, aby się upewnić, iż się pomyliłam.

— Cóż to za łotr, tak do Knora podobny.

— Ludwik, syn Czerwonej Maryny, morderca Izabeli Kronberg.

— Nie rozumiem. Czerwona Maryna? Co to jest?

— Ja to panu wytłomaczę — rzekł Greif, wchodząc do pokoju i kłaniając się Hani z uszanowaniem.

Hania ze zdziwieniem spojrzała na nieznajomego, wyczekując, aby go przedstawiono. Greif to spostrzegł i przemówił z uprzejmością, z którą łączyło się głębokie uradowanie.

— Bez przesady najmniejszej muszę powiedzieć, że może nigdy nie zdarzyło mi się tak szczęśliwie, jak w tej chwili, iż mogę przedstawić się pani nie jako komisarz policyi Greif, ale jako zwiastun najpożądańszej dla pani wiadomości, że baron Adlersfeld zostanie wkrótce oczyszczony z hańbiącego obwinienia.

Hania patrzyła się osłupiałym wzrokiem na Greifa. Rozpierały nią takie uczucia, że ich w ład ująć nie mogła. Słowo komisarz policyi obudziło w niej trwogę o Ryszarda; nasunęła się jej myśl, że skoro tu przybył, to musiano odkryć Ryszarda schronienie. Ale ten komisarz zapewnia, że okazała się niewinność Ryszarda, więc niemal szał radości ją ogarnia. W kilku sekundach przebyła wstrząśnienia duszy ogromne. Wybuchnęła płaczem i ręce wzniosła jak do modlitwy i wyjęknąwszy: Boże! zsunęła się na fotel.

Również Frendenberg był do głębi wzruszony. Z radością mięszały się w jego sercu najstraszniejsze przeczucia. Zaczął się domyślać, że Edward ma jakiś hańbiący związek z tą zbrodnią, o którą Ryszarda posądzano. Nastała chwila przykrego milczenia, którą wreszcie przerwał Greif.

— Obwinienie barona Adlersfelda oparto na znalezieniu w ciele zamordowanej osoby sztyletu, będącego własnością barona. Śledztwo nie zwróciło uwagi: ani na miejsce, gdzie zbrodnię popełnioną, ani też na osoby, które w tem miejscu przebywały, lub przebywać mogły. Tymczasem policya wpadła na trop dwóch niebezpiecznych zbrodniarzy. Udało mi się szczęśliwie znaleźć w mieszkaniu zamordowanej bardzo wymowne poszlaki, że mordercą był syn tak zwanej Czerwonej Maryny, a jego wspólnikiem młody zbrodniarz, ścigany sądownie za kradzieże, rozboje i morderstwa. Obaj przyjaciele w nocy tego dnia, w którym zbrodnia popełnioną została, grali w karty w mieszkaniu zamordowanej, raczyli się tam winem z jej piwnicy i zapasami jej spiżarni, a widać podochocili sobie dobrze, skoro porozsypywali zrabowane pieniądze i pozostawili ważne notatki. Korzystając z tego, że barona Adlersfelda o popełnienie zbrodni posądzono i do więzienia zamknięto, bujali z całą bezczelnością po świecie, chociaż każdy z osobna. Niedawno ujęto obydwóch, i w więzieniu ponownie się zeszli. Z więzienia udało im się uciec i oto są tutaj.

— Boże wielki! — krzyknął Frendenberg.

— Tak, to są panowie Edward Frendenberg i jego przyjaciel amerykański, pan Knor. Tu im zawadzał baron Adlersfeld, jako człowiek rozumny, bystry, przenikliwy, więc chcieli się go pozbyć, jak tego bardzo trafnie dociekł wierny sługa. Gdy im się nie udało zgładzić ze świata barona, wysłali denuncyacyę do nas, że zbiegły z więzienia baron Adlersfeld, ukrywa się tu pod nazwiskiem barona Steinfelsa. Myśleli, że barona natychmiast zamknie się do więzienia. Ale się złapali sami. Pismo denuncyacyi zupełnie takie, jak na tym kwitku, który znalazłem w mieszkaniu zamordowanej. Owym kwitkiem z datą morderstwa potwierdza Edward, że od Ludwika otrzymał dwa tysiące marek pożyczki. To pismo sprawiło, że nasz rząd nie prosił tutejszego o aresztowanie barona, tylko wyjednał pozwolenie, abyśmy tu sami zbadali sprawę. Jesteśmy więc i mamy do dyspozycyi pomoc władz tutejszych. Zbrodniarze muszą być ujęci i będą ujęci. Proszę najgoręcej, byście państwo zachowali

w najgłębszej tajemnicy to wszystko, cośmy tu mówili. Pragnę uczynić wszystko bez rozgłosu, aby oszczędzić państwu i wzruszeń i sponiewierania nazwiska. Gdyby mi zbrodniarze uszli, rozpisanoby za nimi listy gończe, i nazwisko Frendenbergów poniewierałoby się między nazwiskami wyrzutków społeczeństwa. Jeżeli ich tutaj pochwycę, dostaną się w ręce sprawiedliwości tak cicho, że nikt o tem nie będzie wiedział. A teraz pozwolicie państwo, że poczynię potrzebne zarządzenia, a przedewszystkiem poproszę o taki dla nas kącik, w którymby nas nikt nie widział i nie słyszał.

Frendenberg był prawie bezprzytomnym. Nie mógł się nawet podnieść. Zadzwonił tylko i gdy Hans się zjawił, rzekł cichym, złamanym głosem:

— Umieść panów w żółtym gabinecie i bądź we wszystkiem na ich rozkazy.

Greif i Spür wyszli z Hansem, Hania zaś pocieszała Frendenberga tak tkliwie, tak serdecznie, jakby córka własna.

— Tylko mojej żonie nic nie wspominaj, niech nie dowie się o niczem. Dziej się wola Twoja Panie!

Rozbójnicy.

Gdy się to działo we dworze, przyjaciele układali plan wojenny.

— A widzisz Edek, że wszystko na nic, coś prawił.

— Prawda, prawda. Wiesz ty, że fagas sprowadził weterynarza i karego pokrajali? Weterynarz zrobił doniesienie urzędowe. Źle — a nuż? co? Nie ma rady. Trzeba kończyć.

— Pamiętajże, co masz robić. O samej drugiej po północy, kiedy najtwardszy sen, zrobimy. Byleś się nie zdradził. Jeżeli ci się nie uda dorwać kluczy od kasy starego, żeby ją wymieść, to przyjdziesz do altany, a ja tam będę czekał. Wtedy już ja zrobię po swojemu. Ale miej węch, chłopie żeby ci fagas nie nadeptał na pięty, bo to bestya czujna. Klucze posmaruj, żeby zamek nie skrzypiał. No, głowa na karku!...

Na takich rozmowach czas schodził. Edward czekał zmroku, żeby chyłkiem wrócić do domu. Obawiał się, żeby mu kto z twarzy czego nie wyczytał.

Wrócił też wieczorem, od kolacyi się wymówił bólem głowy i spać się położył.

* * *

Spür z leśnymi mieli na oku grotę zbójecką. W gęstwinie się ukryli tak, że ich nikt dopatrzyć nie mógł, a widzieć mogli wszystko. Greif ułożył sobie, żeby czuwać na miejscu we dworze, przy pomocy Hansa.

— Mnie się zdaje, mój poczciwy Hans — rzekł Greif — że nam będzie potrzeba czuwać w nocy. Ten amerykański panicz kryje się w lesie, ale stamtąd nie ucieknie. Moglibyśmy go zaraz chwycić, ale ja wolę przyłapać paniczów na gorącym uczynku. Jeżeli tamten się ukrywa, a ten go odwiedza, to juścić na to, że chcą jakąś niespodziankę we dworze urządzić i to oczywiście w nocy. Będziemy obaj czuwali obok gabinetu twego pana.

— Mnie się to jakoś dziwnem wydaje — odpowiedział Hans, że pan Edward aż do późnego wieczora był w lesie i wróciwszy stamtąd, jakoś z podełba patrzy. Oj, bieda, bieda. Nasz pan zanadto poczciwy, nie chciał mi wierzyć. Żeby tylko nie stało się panu co złego. Możeby lepiej odrazu ich chwycić, teraz zaraz, jednego w lesie, a tego tu. A jeżeli się zmówili, żeby mego pana zabić i zrabować?

— Nie bój się Hans, przeszkodzimy temu, ale musimy czekać, żeby ich złapać na gorącym uczynku.

* * *

O godzinie drugiej w nocy wśliznął się Edward do altany. Ludwik już czekał.

— Nie ma kluczy?

— Nosi je przy sobie, a na noc chowa pod poduszkę. Chciałem wyjąć, ale zaczął się ruszać. Bałem się, żeby się nie zbudził i nie narobił hałasu, bo wszystkoby przepadło.

* * *

Frendenberg przygnębiony wrażeniami, do późna usnąć nie mógł i dopiero po północy zmógł go sen twardy. Edward z Ludwikiem weszli cicho, w gumowych trzewikach, bez najmniejszego szelestu i stanęli nad łóżkiem śpiącego.

— Bierz klucze — szepnął Ludwik. Szukaj, tylko prędko.

Szepnąwszy te słowa, ujął sztylet i przyłożył go do piersi Frendenberga. Edward wsunął rękę pod poduszkę, klucze namacał, wyciągnął i obaj poszli do przyległego gabinetu, w którym była kasa wertheimowska. Ludwik włożył klucz do zamku, poświeciwszy sobie cokolwiek zapałką, i już miał kasę otworzyć, gdy ujęły go z tyłu żelazne ramiona Hansa, a równocześnie Greif rzucił się na Edwarda. Edward, wyrwawszy się Greifowi, chwycił go za gardło. Greif, opierając się Edwardowi lewą ręką, prawą wyciągnął rewolwer i wystrzelił przez okno. Huk strzału, brzęk szyb stłuczonych, zbudził Frendenberga; zerwał się z łóżka i wpadł do gabinetu, a w tejże chwili zjawił się i Spür z leśnemi. Działo się to wszystko przy świetle księżyca. Pozapalano teraz światła i Frendenberg spostrzegł dwóch zamaskowanych i zakapturzonych ludzi, którym leśni krępowali ręce.

— No, sprawa szczęśliwie załatwiona — rzekł Greif, zwracając się do Frendenberga. Proszę zdjąć im maski i kaptury.

Gdy Spür ściągnął kaptur i maskę z Ludwika, Frendenberg nie mógł już ustać. Do domyślił się reszty. Odgłos strzału rozległ się po całym dworze,



Edward wsunął rękę pod poduszkę..

przeto zbiegła się służba, przybyły też Frendenbergowa i Hania.

— Syn Czerwonej Maryny! — krzyknęła Hania — morderca Izabeli!

Teraz zwrócił się Greif do Edwarda i strącił mu kaptur i maskę.

Edward zdołał jednak wysunąć rękę z powroza chwycić odebrany sobie rewolwer, i zanim się spostrzeżono, przyłożył go sobie do ust, wystrzelił i padł trupem na miejscu. Frendenberg zbliżył się do martwych już zwłok i łzy spłynęły mu z oczu.

Skończyło się.

Ludwik przyznał się do zbrodni, więc po dokonaniu nowego postępowania karnego, uwolniono Ryszarda od wszelkich podejrzeń, a Ludwika skazano na śmierć. Także i Czerwona Maryna dostała się do więzienia. Nie wykonano jednak zaraz kary śmierci na Ludwiku dlatego, aby użyć go do pewnych wyjaśnień w śledztwie, które toczyło się przeciw Klarze. W więzieniu wybuchł pożar, skutkiem czego ogromne powstało zamieszanie. Więźniów wyprowadzono z ich cel na dziedziniec więzienny. Ludwik spostrzegł tu Klarę. Zdumiał się tem niezmiernie, a że straż więzienna także na pożar zwracała większą uwagę, więc bez przeszkody zbliżył się do niej.

— Klaruncіu! to i ty w ulu? — szepnął do niej.

— Przecież cię raz chwycili — odpowiedziała Klara. Ty już znasz się na więzieniach. Powiedz mi co czynić, żeby się książę o tem dowiedział, żeby mnie stąd wyrwał. On pewnie o niczem nie wie.

— A czyś pewna tego, że książę jeszcze o tobie myśli?

— Najpewniejsza.

Pożar wzmagał się. Na dziedziniec więzienny zaczęły spadać belki walącego się dachu, zewsząd sypały się iskry, buchały płomienie, więźniowie już tutaj dłużej pozostawać nie mogli, więc pod strażą silnego oddziału wojska, przeprowadzono ich do koszar, które na razie w części opróżniono.

Następnego dnia, gdy się więźniowie po dziedzińcu koszarowym przechadzali, udało się Ludwikowi zbliżyć znowu do Klary.

— Jeżeli mi dobrze zapłacisz i pomożesz wyjechać z tego przeklętego kraju, to ja ci stąd uciec pomogę. Dozorca zgubił klucz od kajdan, a ja go znalazłem. Mam już wojskowy płaszcz i czapkę, świsnąłem je z korytarza. Jak nas wieczorem będą rozdzielali na nocleg, ty się schowaj pod schody, a ja tam już będę w żołnierskim płaszczu i wyjdziemy przez kantynę.

* * *

Wśród lasu, w chacie na pół rozwalonej, w której niegdyś przebywali cyganie, od tygodnia już ukrywali się Klara i Ludwik.

— I cóż Klaruncіu? jakoś ci książę nie przybywa na ratunek? ba! mnie się zdaje, że on cię puścił w trąbę i że przepadnie mi zapłata u ciebie.

— Zapomnij już o nim, a chodź ze mną.

W tem posłyszeli szmer koło chaty. Ludwik wyjrzał przez otwór w ścianie. Przy chacie byli żandarmi. Zerwała się Klara, wyskoczyła oknem i zaczęła uciekać. Rozległ się strzał jeden i drugi. Dwóch innych żandarmów wkroczyło do chaty w chwili, gdy Ludwik przez otwór w pułapie na dach się wspinał. Ujęli go i powiedli z sobą.

Niedługo potem zginął Ludwik z ręki kata, a straż leśna znalazła zwłoki Klary, nadszarpane przez leśne zwierzęta.

Ryszard i Hania pozostali jeszcze jakiś czas u Frendenbergów, a potem wrócili do Adlersfeld, by odwiedzić rodzinne strony, matkę Ryszarda i ojca Hani, szlachetnego proboszcza, poczciwego Bertolda i zacnego Wawrzyńca. Ale właściwie mieli dwa domy, bo co roku musieli przez kilka miesięcy u Frendenbergów przebywać.

Hrabia Buchenau ożenił się z Gertrudą i był teraz najmilszym towarzyszem księcia Ferdynanda. Rózia umarła ze wstydu i zmartwienia, gdy brat zginął z ręki kata, a matkę na dożywotnie więzienie skazano, a do tego i narzeczony ją opuścił.

Sprytny ten kamerdyner, utraciwszy służbę u dworu, lecz hojnie obdarzony przez księcia Ferdynanda, kupił sobie majątek ziemski w odległych okolicach i udaje z powodzeniem wielkiego pana.

KONIEC.



Mordowanie aresztowanych w cyrkułach warszawskich: Żołdacy strzelają na rokaz oficera w cyrkule V. do aresztowanych demonstrantów.

Mordowanie aresztowanych w cyrkułach warszawskich.

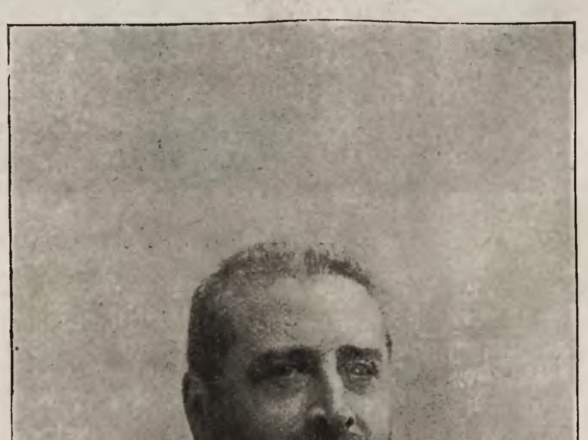
Mało było dla żołdactwa mordu i rzezi na ulicach Warszawy w tych dniach strasznego i gniewnego buntu ludu polskiego. Mało wylali jeszcze krwi naszej i nie dość im było ofiar! Rozbestwione żołdactwo dokonywało orgii zemsty na wszystkich tych, których zabrano i aresztowano. Cyrkuły, tj. więzienia dzielnicowe, przepełnione były aresztowanymi, a ogółem osadzono w więzieniach i cytadeli aż 2 tysiące ludzi. I ty ᵏ, których zabrano do więzienia, czekał los straszniejszy i okropniejszy od losu tych, co legli zabici od kuli na ulicach Przechodzili oni przez prawdziwą torturę, męki i katusze; żołdactwo znęcało sie nad uwięzionymi w wyrafinowany sposób, aż w końcu biedne ofiary ginęły od kul żandarmskich.

W nocy z dnia 29 na 30 stycznia r. b. i w nocy z dnia 30 na 31 miały miejsce w niektórych cyrkułach policyjnych, w Warszawie doraźne, masowe egzekucye aresztowanych w czasie ulicznych zaburzeń.

W cyrkule X, mieszczącym się obok kościoła św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie prystawem, czyli naczelnikiem jest znany żandarm Kisielew, dopuszczano się istnych orgij na aresztowanych. Osoby aresztowane na ulicy, przyprowadzone pod konwojem do cyrkułu, były bite przez policyę i żołnierzy na drodze od bramy domu aż do wejścia do cyrkułu w lewej oficynie. Rozbestwieni żołdacy w obecności oficerów, którzy stali na boku i palili cygara, bili kolbami, szablami, prętami splecionymi z grubego żelaznego, drutu i pięściami po głowie i całem ciele, deptali nogami łamiąc ręce, żebra, nogi, pastwiąc się w sposób okrutny. Z okien kamienic sąsiednich patrzano na dalsze sceny, w których i oficerowie brali udział, znęcając się nad nieszczęśliwemi ofiarami. Nawet w nocy pastwiono się nad aresztowanymi, a z okien aresztów wydobywały się nocą straszliwe jęki, które słyszano od ulicy Włodzimierskiej. Późno w noc jęki ucichły zupełnie, a ciała ofiar niewinnie pomordowanych wrzucono do 10 furgonów i w nocy wywieziono na cmentarz, gdzie pochowano je we wspólnym dole. Ludzie oburzeni byli na to ohydne znęcanie się i mordowanie przez żołdaków aresztowanych, a nawet jeden z żołnierzy, który wyszedł z cyrkułu opowiadał, że wolałby umrzeć, niż brać udział w podobnej egzekucyi.

W cyrkule piątym, bardzo oddalonym od centrum miasta, działy się orgie i miała miejsce doraźna egzekucya masowo zaaresztowanych, przez rozstrzelanie. Odbywało się to po godz. 10 wieczór na podwórzu domu, w którym mieścił się cyrkuł. Żołnierze uszykowani w jeden rząd, strzelali do przodem ustawionych pod murem około 20 ludzi, którzy padali od kul. Między tymi byli młodzi i starcy. Podwórze oświetlone było tylko latarnią, którą jeden z żołnierzy trzymał w ręce.

Ogólnie obiegają po Warszawie pogłoski, że podobne rzezie odbywały się i po innych cyrkułach.



Kryzys prezydyalny w parlamencie austryackim: Hr. Vetter v. der Lilie, prezydent Izby posłów w Wiedniu.

Kryzys prezydyalny w parlamencie austryackim.

Parlament austryacki przechodził przed dwoma tygodniami kryzys prezydyalny, gdyż dotychczasowy prezydent izby hr. Vetter v. der Lielie zgłosił swoją dymisyę. Przyczyną podania się do dymisyi było następujące zajście:

Podczas debaty nad refundacyą, przemawiał w parlamencie poseł hr. Sternberg, o którym złośliwi mówią, że wszedł w skład izby poselskiej po to, by swoją osobą zabawiać od czasu do czasu posłów, zmęczonych dyskusyą. Hr. Sternberg w ostatnich czasach postanowił za często dawać widowiska cyrkowe izbie i ma się rozumieć, że prezydyum izby musiało postarać się o to, by powaga izby poselskiej na tem nie ucierpiała. Przed niedawnym czasem, obił hr. Sternberg w parlamencie redaktora „Narodnich listów“, który ośmielił się go nazwać w swem piśmie błaznem parlamentarnym, a wkótce potem zabrawszy głos w dyskusyi opowiadał izbie banialuki i plótł ni w pięć ni w dziewięć, tak, że prezydent Vetter był zmuszo-

nym odebrać mu głos. Hr. Sternberg odniósł się do izby poselskiej, a ta uchwaliła udzielić mu głosu nadal, jedynie w tym celu, by uśmiać się z komedyanta. Hr. Vetter czuł się obrażonym takiem postąpieniem izby i zgłosił swoją dymisyę. Prezydent zapytywany przez dziennikarzy o powody ustąpienia, odpowiedział:

„Powody są bardzo jasne. Posłowi Sternbergowi musiałem odebrać głos — bo mówił od rzeczy. Wszyscy domagają się energicznego prezydenta, a gdy ten postąpi istotnie energicznie, pozostawiają go na koszu".

Przy ponownym wyborze — prezydentem izby został wybranym ponownie hr. Vetter, czem izba zadokumentowała, że ma do niego zupełne zaufanie i w ten sposób wyraziła mu niejako votum ufności.

Dla charakterystyki hr. Sternberga, musimy dodać, że jest to człowiek umysłowo chory, jak to stwierdzili lekarze i że przez półtora roku był już internowanym w zakładzie dla umysłowo chorych.



Krakowska jubileuszowa wystawa artystów polskich we Lwowie: Wnętrze pierwszej sali wystawy.



Wyrok komisyi międzynarod. w sprawie Hullskiej: Admirał Dubasow, zastępca rządu rosyjskiego w komisyi w sprawie hullskiej.



Wyrok komisyi międzynarod. w sprawie Hullskiej: Admirał Kaznakow, reprezentant rządu rosyjskiego.

Wyrok komisyi międzynarodowej w sprawie Hullskiej.

Od dwóch miesięcy obradowała w Paryżu komisya międzynarodowa, złożona z admirała Beaumonta, jako reprezentanta Anglii, Dubasowa — Rosyi, Fourniera — Francyi, Davisa – Ameryki i Spauna, admirała austryackiego, powołanego przez czterech powyższych admirałów na piątego członka komisyi.

Obrady jawne i tajne trwały do zeszłego tygodnia pod przewodnictwem Fourniera, a wyrok był tak zredagowanym, by nie obrazić żadnej strony. Komisya ograniczyła swoją działalność do stwierdzenia prawdziwości faktów i przeprowadziwszy dowód śledczy, ogłosiła swój wyrok, którego redaktorem był Spaun. Sąd orzekł, że Rożdiestwieński mógł wziąść łodzie rybackie za torpepowce japońskie, a tem samem uchylił go od wszelkiej odpowiedzialności i kary. Odszkodowanie zobowiązała się Rosya zapłacić jeszcze dawniej przed zebraniem się komisyi — a więc w tej mierze nie miał sąd nic więcej do powiedzenia, jak tylko stwierdzić gotowość Rosyi do poniesienia wszystkich kosztów odszkodowania. W ten sposób Anglia poniosła porażkę, gdyż głównym jej postulatem było domaganie się ukarania winnych oficerów rosyjskich — a sąd żądania tego nie uwzględnił. Wprawdzie rząd robi dobrą minę i oświadcza, że poddaje się wyrokowi, ale cała prasa angielska bez ogródek nazywa wyrok sądu klęską dyplomatyczną Anglii. Groźby Anglii pozostały na razie tylko przebrzmiałemi groźbami — a wrzawa, jaką podnieśli Anglicy, po napadzie rosyjskiej floty na rybaków hullskich, uciszyła się, gdyż do przedsięwzięcia poważnych kroków przeciw Rosyi i do wystąpienia zbrojnego, Anglia przynajmniej na razie, nie jest dostatecznie przygotowaną. Jedynie prasa angielska nie może darować Rosyi wygranej pod Hull i całą swoją zemstę wyładowuje w sążnistych artykułach, omawiającyah niebezpieczeństwo, jakie grozi Europie ze strony barbarzyńców, którzy napadli na spokojnych rybaków i odjechali – nie przyszedłszy nawet nieszczęśliwym z pomocą.

Jako głównych i sprytnych dyplomatów, którzy tak pomyślnie dla Rosyi przeprowadzili obronę w komisyi, należy uważać admirała Dubasowa i Kaznakowa, którzy umieli pozyskać dla siebie Spauna i na spółkę z tym przedstawicielem zaprzyjaźnionego z Rosyą mocarstwa, pokierowali akcyą rozjemczą!

Krakowska jubil. wyst. artystów polskich we Lwowie.

W małych i mrocznych salkach Muzeum przemysłowego, znalazła niefortunne pomieszczenie jubileuszowa wystawa krakowskich malarzy. Wadliwe oświetlenie i brak przestrzeni, złożyły się na to, że wystawa nie przyciąga wielu widzów i nie robi takiego wrażenia, jakie bez kwestyi zrobiłaby w innych warunkach.

Pomimo jednak tak fatalnych danych — wybija się z szaroty i miernoty kilku prawdziwych mistrzów pędzla. A więc Juliusz Koszak, Fałat i Tetmajer nęcą najbardziej oko swojemi pracami. Wojciech Kossak wystąpił z prześlicznemi dziełami: „Wiosna w r. 1813" i „Emilia Plater". Charakteryzować jego twórczość byłoby zbytecznem. Komuż nieznany jest Kossak i jego nieśmiertelne dzieła? Fałat dał pejsaż górski, zatytułowany „Pod Nosalem" i obrazek rodzajowy p. t. „Za przykładem". Tetmajer wystawił ludowe płótna rodzajowe, z których najwięcej do wyobraźni i serca przemawiają „Oczepiny."

Wreszcie p. Rychter-Janowska, dała prześliczny obrazek p. t. „W słońcu", w którym wykazała pewną artystyczną i niemałe poczucie kolorytu.

Po za wymienionymi artystami – nie wyszczególniają się niczem pozostali. Wszystkie ich płótna to szarzyzna, nierzadko i tandeta — w dodatku źle umieszczona i gorzej jeszcze oświetlona.



Krakowska jubileuszowa wystawa artystów polskich we Lwowie: Wnętrze drugiej sali wystawy.

Ze świata

Z licznego zastępu konkurentów, ubiegać się mających o teatr krakowski, a wymienionych już przez nas dawniej, wyłonili się obecnie trzej kandydaci, którzy złożyli na ręce prezydenta miasta. Dr. Juliusza Leo, formalne oświadczenia, że pragną ująć w dłonie ster nawy teatralnej, bujającej się w tej chwili na wzburzonych fluktach. Oto ich nazwiska: Aleksander Bandrowski, Dr. Julian Bandrowski i Stanisław Wyspiański. W niemałym będzie kłopocie rada miejska, jeśli z tego „terna“ zechce wybrać przyszłego dyrektora. Pierwszy z kandydatów, słynny i słusznie ceniony tenor, gotów jest — jak twierdzą powszechnie — wyprowadzić scenę naszą na karkołomną drogę eksperymentów operowych, które zepchną dramat i komedyę na plan ostatni, same zaś przez się nie wzniosą się nawet na przeciętnie znośną wyżynę, Kraków bowiem jest za mało ludnem i niedość bogatem miastem, aby mógł posiadać dobrą operę. Lwów o wiele ludniejszy i bogatszy, rezydencya najwyższych przedstawicielstw, wszystkich władz autonomicznych i rządowych, punkt centralny krajowego ruchu kapitalistycznego, nie jest w stanie utrzymać przyzwoitej opery, a bardzo średnią, na jaką się zdobywa, podkopuje byt teatru ciągłym i znacznym deficytem. Fundowanie zatem w Krakowie stałej trupy operowej z orkiestrą i chórami, byłoby szaleństwem, bezwzględnie sprzecznem z interesami i zasobami starego grodu, mogącego zaledwie wyżywić przyjezdną operetkę i to tylko co lat parę w krótkim, letnim sezonie. Drugim kandydatem na dyrektora teatru jest człowiek najlepszych chęci, który atoli łamiąc się od dość dawna z przeróżnemi przeciwnościami życia, wyczerpał posiadane niegdyś środki materyalne, a bez nich o przedsiębiorstwie teatralnem w dzisiejszych czasach marzyć nie można. Był lekarzem-dentystą, współdyrektorem sceny lwowskiej w imprezie L. Hellera, jest teraz nareszcie dziennikarzem w Warszawie, a jak wszystkim wiadomo, nikt jeszcze na polskim dziennikarskim chlebie nie utył, a tem bardziej nikt się nie wzbogacił. Za trzecim malarzem i poetą, głosowaliby niezawodnie artyści i spora gromadka literatów, gdyby dyrekcyę objąć można było na rok jeden, zwłaszcza z repertuarem, złożonym wyłącznie z jego własnych utworów. Oprawiłby je on w śliczną szatę dekoracyjną i kostyumową, wyrządzając tem oczom widzów rozkosz prawdziwą. Lecz niestety, ponieważ kontrakt teatralny podpisać trzeba na okres sześcioletni, a repertuar musi nosić na sobie charakter przeważnie sceniczny (w europejskiem znaczeniu tego wyrazu), nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości, że długa, ciężka, wyczerpująca nerwy praca, zniszczyłaby niezawodnie zdrowie dyrektora, nie przynosząc sztuce i społeczeństwu realnych korzyści. Tak więc widzimy, że z trzech kandydatów, którzy stanęli do konkursu, żaden nie posiada warunków, jakich od kierownika teatru miejskiego w Krakowie wymagać wypada. Co pocznie z tak niemiłym fantem rada gminy? Odpowiedzieć trudno. Jak zawsze u nas i tym razem prawdopodobnie odegra ważną rolę w przykrej sytuacyi nie rozwaga i właściwe zważenie wyboru na szalach bezstronnie ocenianych interesów miasta i sztuki, lecz protekcya, lub nie spodzianka. Nam zaś nie pozostaje nic więcej, jak powtórnie wyrazić głębokie przekonanie, że byłoby koniecznem, aby sfery decydujące, zdjąwszy pychę z serca, zwróciły się do Tadeusza Pawlikowskiego, który jeden tylko — jedyny — wskazany jest przez opinię znawców i publiczności na stanowisko dyrektora teatru w Krakowie. Nie znamy innego rozumnego wyjścia z zamętu, jaki w sprawie wytworzyły: złośliwe fata i obecne, nieudolne kierownictwo teatralne.

Jak pierwszorzędna scena, ciesząca się rozgłośną sławą, ma doniosłe znaczenie nawet dla olbrzymich i ludnych stolic, posiadających tysiączne atrakcye (jakich Kraków nie posiada i posiadać nie może), świadczy wymownie polemika, prowadzona obecnie w dziennikach niemieckich o wyższość teatrów berlińskich nad wiedeńskimi. Polemikę tę wywołała, ma się rozumieć, rywalizacya konkurencyjna. Piękny Wiedeń, dzięki w znacznej części zajęciu, jakie budzą jego sceny, wydziera brzydkiemu Berlinowi wielu cudzoziemców, zwłaszcza Amerykanów i Anglików, chętniej osiedlających się na czas pewien nad Dunajem, niż nad Sprewą. Człowiek, obdarzony smakiem artystycznym i który zdobył już pewien rodzaj doświadczenia w rzeczach scenicznych, zgodzić się musi, że Wiedeń w wielu razach, tak pod względem wystawy, *mise en scène*, a szczególnie gry aktorskiej stoi wyżej od Berlina. Znamy dobrze teatry obu stolic, a w kwestyach sztuki brzydzimy się wszelką parcyalnością, to zatem, co wypowiemy poniżej wypływa z bardzo poważnie dokonanych studyów i starannie zestawionych porównań. Przyznajemy, że zespół wśród artystów dramatycznych berlińskich, dzięki inteligentnej reżyseryi, przedewszystkiem w niemieckich utworach nowoczesnych, jest doskonały. „Tkaczów“ Hauptmanna nie wystawiono nigdzie tak wzorowo, jak w Berlinie. Nie powiemy jednak tego samego o dziełach Maeterlincka, Tołstoja, ani Gorkiego, chociaż obrazy sceniczne ostatniego wyszły, w wykonaniu berlińskiem lepiej niż na innych scenach niemieckich, nie wyłączając Wiednia i Monachium. Jednakże, pomimo cennych zalet, umiejętnie i kunsztownie ujętego zespołu, z jakim niemal zawsze spotykamy się w Berlinie, każde dobre widowisko teatralne wiedeńskie, wypróbowane i inscenowane należycie, przewyższa niezmiernie często takież berlińskie, teatry bowiem pruskie posiadają bardzo mało utalentowanych indywidualności aktorskich. Jeden tylko teatr dworski w Wiedniu, ma ich znacznie więcej niż wszystkie razem wzięte sceny w Berlinie. Dzieła klasyczne starego repertuaru, Szekspira, Goethego, Kalderona, Szyllera, a nawet niekiedy i Moliera, tylko w *Burgu* liczyć mogą na interpretacyę godną gieniuszów, równie w „ensemblu“, jak w głównych i drugoplanowych tragicznych i komicznych postaciach. Nie dość tego, nawet niektóre modernistyczne utwory niemieckie (o ile ról nie rozdała protekcya) grane są i wystawiane tam przedziwnie. „Poniedziałek zapustny“ i „Woźnica Henszel“ służyć mogą za przykład w tym względzie. Nietylko nadano ich wystawie i wykonaniu jednolitość właściwego im stylu, nie tylko sharmonizowano w kunsztowną całość ogólny zarys obu utworów, lecz odtworzono je z nakładem twórczości, natchnionej talentem aktorów, nie zaś ścisłemi i inteligentnemi, lecz z natury rzeczy poniekąd suchemi informacyami reżysera, jak w Berlinie. Bardzo często widzieliśmy w teatrach berlińskich szczęśliwie warunkami zewnętrznemi dobranego do roli aktora, który interesował, lub nawet zachwycał w jednej sztuce, gdy w następnej i wielu innych wychodził zupełnie blado, nie wywierając na publiczności wcale wrażenia. Otóż takie właśnie objawy uczą, że teatr dobrze prowadzony, dbając o zespół i *mise en scène*, musi jednak ubiegać się także o utalentowanych artystów, którzy mogą samoistnie odczuć i tchnąć, tak w swoje kreacye, jak w całość przedstawienia, ducha, jakim autor ożywił swoje dzieło. Doskonały „ensemble“ i równocześnie zdolni artyści bywają tylko w takich teatrach, którym przewodniczy utalentowany i miłujący swój zawód dyrektor, nieskrępowany żadnemi innemi zajęciami i celami, tudzież nie stawiający wyżej zysków materyalnych od sukcesów moralnych: słowem, ktoś taki, jak Tadeusz Pawlikowski, oddający cały swój czas i całą duszę na usługi teatralnym pracom i zadaniom.

Sprawa wyboru dyrektora teatru krakowskiego, stanowiąca sama przez się (jak to już powiedzieliśmy wyżej) twardy orzech do zgryzienia, przypadła nadto w porze wyborowi niesprzyjającym, bo w chwili, gdy uwagę ogółu pochłaniają wypadki polityczne niezwykłej doniosłości, pozornie oddalone, a przecież bardzo blisko nas obchodzące. Komplikacyą podrzędną, lecz bądź co bądź odwracającą baczność szerszych sfer od sprawy, jest także poniekąd karnawał, wykorzystać pragnący tak zwane „ostatki“ przez urządzanie nie bardzo wesołych, lecz tłumnych pikników i bali na cele dobroczynne. Na szczęście peryod sztucznych rozrywek (bo w tym roku były one przeważnie sztuczne) zbliża się do końca, a chociaż popiół popielcowej środy głów naszych jeszcze nie posypał, zabieramy się do pracy, wszędzie dostrzega się znamiona ochłodzenia temperatury zapustnej. Czuć post w powietrzu — ów post, który zapowiada działalność umysłową. Do odczytów na temat reform administracyjnych przygotowuje się grono profesorów uniwersytetu, omawiać mających pożądane zmiany w ustroju gminy, powiatu, sądownictwa, skarbowości, szkolnictwa etc. O gminie mówić ma profesor Dr. Wł. L. Jaworski, o sądownictwie prof. Fierich, o szkolnictwie prof. Dr. Bobrzyński i tak dalej. Nadto naukowe stowarzyszenie prawników naszych poleciło specyalnie wybranej komisyi studya nad przygotowaniem reformy kodeksu cywilnego, postanawiając również przetworzyć galicyjskie słownictwo prawnicze, dotąd pełne dziwolągów językowych. Sądownictwo polskie w Królestwie kongresowem niedawno jeszcze, bo przed czterdziestu laty, posiadało terminologię doskonałą, którą z małemi odmianami, wamaganemi przez ducha czasu i różnicę stosunków, przyswoićby w Galicyi należało, jakkolwiek bowiem naginała się do wszelkich nowoczesnych pojęć prawnych, czerpaną była w znacznej części ze skarbca starej mowy polskiej. Rozumną inicyatywę prawników podjąćby powinni w zakresie swojej działalności dziennikarze nasi, gdyż gwara polityczna, jaką pisane są krakowskie i lwowskie wydawnictwa codzienne, jest doprawdy skandaliczna, przepełniona germanizmami i rusycyzmami, importowanymi z Poznania i Warszawy, a oprawionymi w zdania i zwroty zupełnie nie polskie, dosłownie tłumaczone z podobnych zdań i zwrotów dzienników wiedeńskich. Czas już temu raz położyć koniec i nie kalać pięknego języka naleciałościami szkaradnemi, zmieniającemi jego wytworny charakter. Jesteśmy narodem, żyjącym w pośród narodów żywych. Pewne pojęcia nowe i nowe ich nazwy, ze względów cywilizacyjnych przyjmować musimy od obcych. Cudzoziemski wyraz — zwłaszcza, gdy go spolszczymy rodzimem brzmieniem — użyty z konieczności myślowej, lub niekiedy ze względu na koloryt stylistyczny, nie zachwaszcza mowy naszej, gdy kopiowanie niewolnicze składni obcej przeobraża go bezwzględnie, pozbawiając cech mu właściwych i przyrodzonych. Byłoby więc ze wszech miar rzeczą pożądaną, aby instytucya naukowa, tak wysoko w opinii ogółu stojąca, jak krakowska Akademia Umiejętności, otoczona czcią jednomyślną i miłością powszechną, zajęła się niezodzowną reformą. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie dzienniki i czasopisma polskie bez wyjątku, chętnie poddadzą się jej postanowieniom, bez cienia oporu, potrzeba bowiem radykalnej zmiany odczuwaną jest oddawna, a przeszkodą jedyną do urzeczywistnienia jej w praktyce gazeciarskiej, jest tylko niedbalstwo i lenistwo, rozwielmożnione u nas bardziej, niż gdziekolwiekbądź na świecie. Pokonać je jednak nareszcie potrzeba, chodzi tu bowiem o istnienie i rozwijanie się ducha narodowego, czerpiącego całą swą siłę uciemiężonego języka, wygnanego ze szkoły, sądu i urzędu przez pruskich i moskiewskich gnębicieli ojczyzny naszej, splugawionego zbyt często przez nas samych lekkomyślnie w codziennnem, drukowanem użyciu.

Ponieważ w paru gawędach poprzednich mówiliśmy o rewolucyi, która równocześnie z wielkimi wypadkami w Warszawie wybuchła w „Gońcu porannym i wieczornym“, więc obowiązek kronikarski nakazuje zawiadomić Czytelników naszych o jej pomyślnem zakończeniu. Najpoczytniejszy w ostatnich czasach brukowy dzienniczek warszawski, nabyty został przez ordynata Maurycego hr. Zamojskiego, oraz pp. E. Niewiadomskiego i Lutosławskiego za 100.000 rubli. Naczelne kierownictwo objął p. Koskowski, berliński korespondent „Kuryera Warszawskiego“, dawni zaś współpracownicy, przyjęci przez nowych wydawców, siedzą już z piórem w ręku przy swoich stolikach redakcyjnych, które w słusznem oburzeniu opuścili przed trzema tygodniami.

Verax.

Kącik humorystyczny.

Też racya.

— I pan się nie wstydzisz iść za mną! Pan, który jesteś przyjacielem mego męża?

— Właśnie chce się przekonać, czy pani go zdradzasz.

Zrozumiał.

Młody lekarz:

– Tak! Praktyka moja podwoiła się.

Przyjaciel:

– Więc nareszcie jest drugi pacyent.

Przy chorym.

Lekarz (widząc, że trzy damy obsiadły łóżko chorego).

— Ależ moje panie, chory musi mieć spokój!

Pani domu:

– Przecież powiedziałeś konsyliarzu, że należy u niego ożywić akcyę serca!

Na poczekaniu.

— Ależ Marysiu! Więc ty nosisz taką samą suknię i kapelusz co i ja? Czemże ma różnić się pani od kucharki?

– Gotowaniem!



Z wojny ros.-jap.: W ziemi wykopane mieszkania żołnierzy rosyjskich.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Bitwa pod Sandepu była kulminacyjnym punktem ofenzywy rosyjskiej w ubiegłym miesiącu i dlatego budzi jeszcze dziś zaciekawienie, tem bardziej, że połączona była z senzacyjnem ustąpieniem Gripenberga. Jenerał Gripenberg, złożywszy za zezwoleniem cara, dowództwo nad drugą armią mandżurską, wyjechał specyalnym pociągiem do Petersburga, by samemu carowi zdać sprawozdanie z sytuacyi na placu boju. Przejeżdżając przez Moskwę, miał jenerał Gripenberg dłuższy interwiew ze współpracownikiem moskiewskiego dziennika „Nowoje Wremia“, któremu udzielił następujących ciekawych wiadomości o bitwie pod Sandepu i o przebiegu przygotowań i poszczególnych ataków w czasie tej trzydniowej, morderczej walki:

„To, co czytałem dotychczas w pismach, o bitwie pod Sandepu, mija się z prawdą i zawiera zupełnie fałszywe sądy. Przedewszystkiem chcę zauważyć, że jenerał Kuropatkin wiedział już poprzednio o mych zamiarach i oznaczył nawet granicę operacyi: od południowego zachodu w kierunku północno-wschodnim na linii Hajkontaj-Sandepu, której to granicy, mojej armii nie wolno było przekroczyć. Można było nawet mimo takiego ograniczenia osiągnąć poważny rezultat. Hajkontaj posiada wielkie znaczenie, jako punkt oparcia dla ataku na ważne pozycye pod Sandepu, który to atak uplanowałem, skoro uzyskałbym strategiczną nad wrogiem przewagę. Naprzeciw Hajkontaj stał pierwszy korpus, z którego zabrałem jedną brygadę i pchnąłem ją na tę miejscowość. To wszystko działo się dnia 25 stycznia. Brygada osadziła i zajęła wieś, na którą uderzyli wkrótce z południa Japończycy. Brygada dostała się w ogień krzyżowy, utrzymała się jednak, dopóki nie nadeszła nowa brygada, dla wzmocnienia pierwszej i wspólnemi siłami zawładnęli napowrót na chwilę straconą pozycyę. W tej chwili zrozumieli Japończycy, że zamierzam urządzić ogólny atak. Skoncentrowali się wkrótce na lewem skrzydle. Wieczorem tego samego dnia dałem rozkaz swym wojskom, by za wszelką cenę nie zmieniały stanowisk przez siebie zajętych.

Rankiem dnia 26 stycznia rozpoczęła na całym froncie moja armia zażartą walkę.

Prawe skrzydło linii bojowej zajmował korpus pierwszy, na lewo od niego znajdowała się pierwsza brygada artyleryi, dalej piąta dywizya razem z brygadą drugiego korpusu, przysłaną dla wzmocnienia lewego flanku. Razem rozporządzałem 62 batalionami przeciw podwójnie silnemu nieprzyjacielowi. Walka trwała aż do wieczora. Rezultat był taki, żeśmy nie ustąpili ani piędzi ziemi i że



Z wojny ros.-jap.: Chińczycy, przekupieni przez Rosyan dla podpalania magazynów japońskich, idą na śmierć.



Z wojny ros.-jap.: Kozacy przynoszą do głównego sztabu wiadomość o pojawieniu się chunchuzów pod dowództwem oficerów japońskich na tyłach armii rosyjskiej.

równocześnie okazała się ogromna słabość naszych wojsk na lewym flanku.

Prosiłem jenerała Kuropatkina, który rozporządzał bezpośrednio 60 batalionami, aby mi natychmiast przysłał pomoc. Prośba moja nie została jednak spełnioną, gdyż demonstracya Japończyków kazała się spodziewać ogólnego ataku na nasze centrum. Mimo to, postanowiłem następnego dnia na nowo atak rozpocząć. Dnia 27 stycznia rozpoczęła się bitwa na nowo, równo ze świtem. Prosiłem znowu o posiłki w chwili, gdy droga do Sandepu, kulminacyjnego punktu pozycyj nieprzyjacielskich, była zupełnie wolną. Gdyby był Kuropatkin spełnił moje żądanie, mogłaby armia japońska zostać otoczoną gęstym pasem naszych wojsk.

Sprawy jednak wzięły inny obrót.

Od południa i południowego zachodu, zagrażała nam kawalerya japońska w dość znacznej liczbie. Dnia 28 stycznia, przedsięwzięli Japończycy, aż cztery straszliwe ataki przeciwko nam, byli jednak za każdym razem odparci. Sam nie mogłem wykonać energicznego kontrataku, gdyż nie otrzymałem zgoła posiłków, a granica dla mych operacyj wojennych była ściśle przez naczelnego wodza oznaczoną. Znajdowałem się w rozpaczliwem położeniu. Zwycięstwo znajdowało się w naszych rękach, ale nie mogłem zabrać się do jakiejkolwiek dalszej akcyi. Nie żal mi było tysiącznych ofiar, gdyż zwycięstwo, byłoby uwieńczyło naszą walkę. Wieczorem, dnia 28 stycznia otrzymałem od Kuropatkina rozkaz, by małe oddziały pozostawić na zdobytych placówkach, a *gros* swych wojsk przysunąć bliżej ku niemu, gdyż zachodziła możliwość, że Japończycy zaatakują centrum armii. Nie chcę osądzać, czy krok taki i rozkaz był potrzebnym, w każdym razie Japończycy ograniczyli się na ruchach demonstracyjnych.

Nie jestem w stanie oddać tego, jakie wrażenie na mnie zrobił ten rozkaz Kuropatkina. Początkowo nie miałem odwagi ogłosić go mym wojskom, które widziały przed sobą pewne zwycięstwo. W końcu zdecydowałem się na to z ciężkiem sercem i ze łzami w oczach. Zabraliśmy ze sobą naszych rannych i cofnęliśmy się. Ja jednak postanowiłem nie brać udziału w dalszych operacyach wojennych i na drugi dzień zgłosiłem się u Kuropatkina z prośbą o zwolnienie mnie z mych obowiązków.“

Ta relacya z ust samego wodza, który kierował akcyą i atakiem na Sandepu, rzuca bardzo ciekawe światło na zdolności wojskowe Kuropatkina i na stosunek armii rosyjskiej do armii japońskiej.

Winę nieudałego ataku na Sandepu ponosi według słów Gripenberga sam Kuropatkin, który zaniedbał wyzyskać najważniejsze momenty i zaprzepaścił sprzyjające Gripenbergowi szczęście.

Pogłoski, które dotychczas obiegały niepewnie o zamierzonem ustąpieniu Kuropatkina, potwierdzają się obecnie i dzienniki podają tę wiadomość, jako już zupełnie pewną. Ma on ustąpić na własne życzenie, gdyż czuje się tak wycieńczonym, iż nie może znosić dłużej trudów wojennych.

Powód jego ustąpienia jest jednak zupełnie jasnym i nie wiadomo, czemu Moskale pozorują nieudolność wojskową Kuropatkina jego chorobą.

Kuropatkin musi ustąpić, gdyż wykazał, że zgoła kwalifikacyj na wodza nie posiada, a dowodem tego, choćby to, że każdy zdolniejszy jenerał żąda dla siebie zupełnej niezależności od naczelnego wodza. Tak się ma z jenerałem Liniewiczem i tak było z jenerałem Gripenbergiem. Dowódzca, który od roku prowadzi kampanię i nie zdołał dotychczas zrehabilitować Rosyi, na której karcie zapisane są tylko zeszłoroczne straszliwe klęski, nie może posiadać zaufania swych żołnierzy i sam fakt, że go car nie odwołuje i komu innemu nie powierza kierownictwa armią, musi oddziaływać w wojsku demoralizująco.

Wydanie rozkazu do odwrotu z pod Sandepu wojskom, które spodziewały się zwycięstw i biły się w tej nadziei, że przynajmniej raz o swem męstwie przekonają wroga, zdyskredytowało go w oczach całej armii i przekonało wszystkich, że żadnej a żadnej kwalifikacyi na wodza nie posiada. Już nawet stracił wszelką protekcyę, jaką się cieszył u zabitego wielkiego księcia Sergiusza, którego był faworytem.

Następca Kuropatkina nie jest jeszcze oznaczonym.

Z przedstawienia przebiegu akcyi koło Sandepu widać tylko jedno, że nawet liczebnie Japończycy przeważali nad Rosyanami. Tłómaczy się to zręcznością i zdolnością japońskich wodzów w operowaniu i przesuwaniu wojsk z pozycyj mniej zagrożonych na bardziej zagrożone. Samem przesuwaniem swych sił potrafili oni wzbudzić w Kuropatkinie obawę przed atakiem na centrum rosyjskie, a w rzeczywistości użyli tej demonstracyi do wzmocnienia swego lewego skrzydła, które szczęśliwie odparło Gripenberga i zmusiło go do cofnięcia się ku środkowi armii, rzekomo przez Japończyków zagrożonemu.

Potyczki między drobniejszymi oddziałami, mają miejsce prawie codziennie na całej linii bojowej. Dnia 12 i 13, stoczono na wschodnim froncie pod Banjapudze małe potyczki, które według relacyj rosyjskich miały się skończyć zwycięstwem Rosyan. W jednej z nich, kompania rosyjska biła się z trzema kompaniami japońskiemi. Japończycy — jak stwierdziły podjazdy rosyjskie — koncentrują się na zachodzie naprzeciw miejscowości Czantanhonan i linię bojową przedłużają ku południowi, by uniemożliwić obejście tego skrzydła przez Moskali.

Japończycy więc nie próżnują.

Sprowadziwszy z pod Portu Artura, nad rzekę Szah ciężkie armaty oblężnicze, zasypują centrum armii rosyjskiej 10 calowymi pociskami, o wadze 250 funtów.

Walka artyleryjska toczy się na razie o pagórek, który Moskale przezwali wzgórzem Putiłowa.

Te olbrzymiej wagi pociski sprawiają — jak przyznaje w swych raportach Kuropatkin — straszne zniszczenie, a te pełne „strasznych“ horoskopów na przyszłość, telegramy Kuropatkina, każą się domyślać jakiejś niespodzianki z jego strony.

Niespodzianką tą, o ile domyślają się słusznie wszyscy, ma być cofnięcie się Kuropatkina z pod-Mukdenu, aż do Tienlinu.

W Tienlinie budują pospiesznie olbrzymie baraki, mające służyć na pomieszczenie dla wojsk rosyjskich.

Pozycye rosyjkie pod Mukdenem są i z tego względu w niebezpieczeństwie, że, jak to można dorozumieć się z telegramów, Japończycy prowadzą na swem prawem skrzydle powolny, ale skuteczny ruch oskrzydlający. Świadczy o tem to, że podjazdy japońskie zdołały zajść na tyły rosyjskie, stoczyć z wojskiem rosyjskiem pomyślną potyczkę i uszkodzić tor kolejowy, a nadto, że przeciw prawemu skrzydłu japońskiemu, Rosyanie w ostatnich dniach powzięli ofenzywę. Sytuacya Rosyan jest obecnie taka, że albo zgodzą się na bitwę, która się może rozpocząć już lada dzień, na bitwę, w której wszystkie szanse powodzenia są po stronie marszałka Oyamy, albo opuszczą pozycye dla siebie niebezpieczne pod Mukdenem i cofną się aż ku Tienlinowi, gdzie już dziś znajduje się pewna część sił rosyjskich. W japońskich kołach wojskowych siłę wojsk rosyjskich zgromadzonych między Charbinem a rzeką Szah, obliczają na 450 tysięcy lu-



Z wojny ros.-jap.: Rozdawanie pożywienia z kuchni polowej.

dzi. Z tych 280 tysięcy znajduje się na linii bojowej, a reszta za Mukdenem i w Tienlinie.

Wprawdzie Rosyanie rozwijają w ostatnich dniach żywą działalność przed prawem skrzydłem japońskiem i lewe ich skrzydło zostało silnie ufortyfikowane i wzmocnione tak, że składa się obecnie z 6 dywizyj — mimo to, jednak mało jest prawdopodobieństwa, by zgodzili się oni na przyjęcie bitwy nad rzeką Szah.

Do operacyj wojennych wszczętych przez Rosyan na swem lewem skrzydle należy także wynajmowanie Chińczyków do podpalania magazynów japońskich. Siedmiu takich Chińczyków, wpadło w ręce Japończyków. Zeznali oni, że otrzymali 600 taelów, a przyrzeczono im jeszcze 20 tysięcy, gdyby podpalili magazyny japońskie.

Rycina nasza przedstawia trzech ujętych Chińczyków, prowadzonych przez żołnierza japońskiego na stracenie.

Ewentualne cofnięcie się Rosyan do Tienlinu byłoby dla nich pod każdym razem korzystne. Jedyna przeszkoda, która może istnieć przy opuszczaniu pewnych pozycyj zimą, to jest trudność wynalezienia i wybudowania nowych mieszkań dla wojska, będzie usuniętą, gdyż licząc się z możebnością odwrotu, Kuropatkin poczynił przygotowania daleko idące, by te braki usunąć.

Rycina nasza przedstawia dotychczasowe w ziemi wykopane mieszkania żołnierzy rosyjskich pod Mukdenem. W Tienlinie pracują podobno z nadzwyczajną szybkością i pośpiechem nad wykończeniem wielkiej ilości baraków dla wojska, gdyż należy zauważyć i to, że z nadejściem miesięcy wiosennych, nory ziemne wskutek odwilży i roztopu nie będą już zdatne na pomieszkania dla wojska.

Z przeniesieniem się armii do Tienlinu, a więc z cofnięciem się jeszcze dalej na północ — oddala się Rosya od żyznych łanów Mandżuryi i cofa się z urodzajnej krainy ku północy, gdzie zaprowiantowanie wojska będzie napotykało już na większe trudności, jeśli nawet nie będzie musiało polegać li tylko na dowozie z Europy. A że i na dowóz z europejskiej Rosyi nie zawsze liczyć można — mówi o tem wyraźnie i przekonująco gospodarka czynownicza w intendaturze.

Oto przed dwoma tygodniami zaszedł następujący fakt, który sam przez się wiele mówi o stosunkach panujących w armii rosyjskiej.

Jeden z urzędników kontroli dostaw wojennych, Jarmankin, syn redaktora pisma „Zarja“ został zabity przez urzędnika intendatury Gromowa. Jarmankin pisał do ojca rozpaczliwe listy o nadużyciach dostawców i kradzieżach, jakich dopuszczają się bez wyjątku prawie wszyscy urzędnicy i donosił podobno o nich także naczelnej władzy. Gdy nie udało się go przekupić, by zamknąć usta Jarmankinowi, pozbyli się go tańszym sposobem. Zbrodni dopuścił się Gromow, znany oszust, który już podczas wojny rosyjsko-tureckiej został skazany na stryczek. To jednak nie przeszkodziło mu teraz zostać jednym z najgłówniejszych dostawców i napychać sobie kieszenie kosztem okradanych żołnierzy. To też żołnierze, choć, jak to na rycinie widać, stoją koło kuchen polowych, gotujących strawę, muszą zadowolnić się połową należnej im porcyi, gdyż i to dobrze, że tyle choć dostają i zgłodu nie pomarli.

* * *

Sprawa zawarcia pokoju omawianą jest we wszystkich dziennikach i przez wszystkich. Rosya w kampanii całorocznej nie tylko, że nie zwyciężyła Japonii, ale nawet nie uzyskała szans do zwycięstwa w przyszłości.

Rosya udaje wprawdzie dumną i odrzuca głośno myśl pokoju, ale po to, by po cichu prosić o interwencyę.

Pośrednictwo wychodzi z kół rządowych Stanów Zjednoczonych, a tamtejszy minister spraw wewnętrznych Hay, odbywa konferencyę za konferencyą i depeszuje na wszystkie strony.

Ważną rolę na dalsze prowadzenie wojny posiada potężny bank kredytowy *„Credit Lyonnais“* w Paryżu. Poprzedni dyrektor popierał zawsze pożyczki rosyjskie, lecz dziś bank ten nie chce już na niepewne ryzyko stawiać swych kapitałów.

Obiegają nawet wersye, że nawet cesarz austryacki, jako najstarszy wiekiem z panujących, ma pośredniczyć między stronami wojującymi. Trudno jednak myśleć, by na warunki Rosyi zgodziła się Japonia, która jako zwycięzca ma jedynie prawo stawiania warunków.

Następujący telegram Biura Reutera rzuca wiele światła na sprawę pokoju:

„Mimo oficyalnych zaprzeczeń z dobrego źródła cieszącego się poparciem wysokiem, utrzymuje się informacya, że kwestya pokojowa została przez cara Mikołaja nie tylko formalnie rozważona, ale, że nawet zgodzono się co do warunków, na podstawie których Rosya gotową jest zawrzeć pokój.

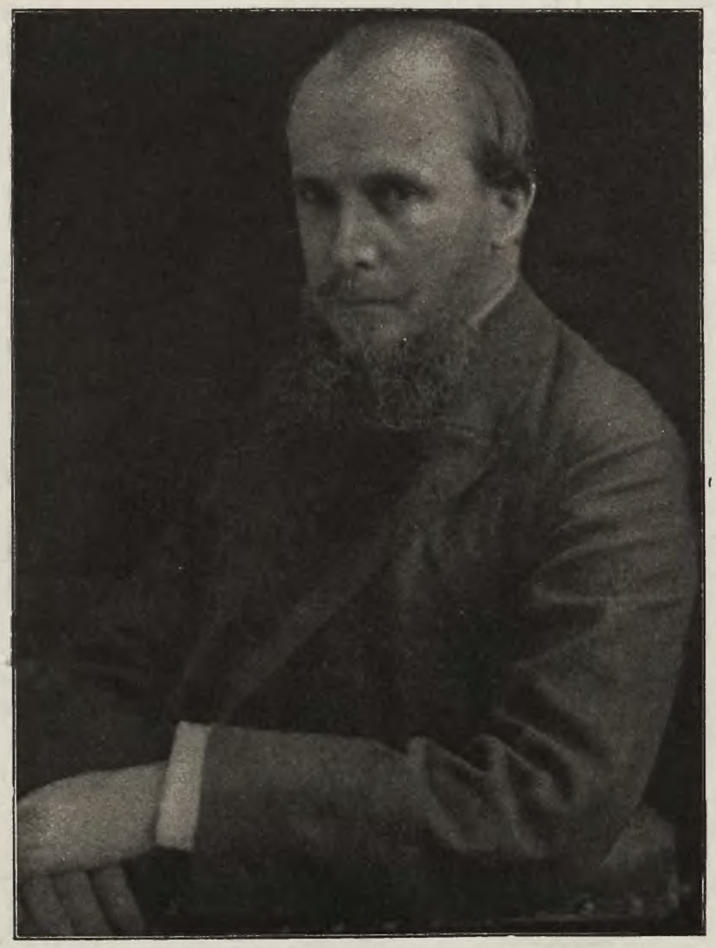
Warunki te są: Korea ma zostać pod zwierzchnictwem Japonii, Port Artura i półwysep Liaotuński mają być odstąpione Japonii, Władywostok ma być ogłoszony jako port neutralny przy przyjęciu systemu otwartych wrót, chińska kolej wschodnia ma być oddaną pod kontrolę międzynarodową neutralną. Mandżurya aż do Charbinu ma być oddaną Chinom.

Trudność przedstawia jedynie kwestya odszkodowania, przy którem Japonia się upiera. Przypuszczają jednakże, że ta trudność da się pokonać. Mimo tego, nie jest wykluczonem, że Rosya spróbuje szczęścia jeszcze w jednej bitwie, zanim przyjdzie do roztrzygnięcia. Sądzą jednakże, że pokój zostanie na powyższych warunkach zawarty, jeżeli się tylko uda, w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu kwestyę odszkodowania załatwić“.

Angielskie dwienniki donoszą, że japońskie warunki pokojowe są następujące: 1) Oddanie całej Mandżuryi Chinom z zobowiązaniem, by Chiny starały się o dobry zarząd i otworzyły kraj dla handlu. 2) Port Artura otrzymuje garnizon japoński. 3) Uznanie japońskiego protektoratu nad Koreą. 4) Wydanie znajdujących się w neutralnych fortach rosyjskich okrętów, a mianowicie „Carewicza“, 5 czy 6 torpedowców w Kioczau, „Askolda“ i torpedowców w Szanghaju i „Dyany“ w Saigon. 5) Zapłacenie odszkodowania, pokrywającego koszta wojny. 6) Okupacya Władywostoku przez Japończyków, aż do zupełnego zapłacenia odszkodowania, co ma nastąpić w 2 latach. 7) Wydanie Japończykom Sachalinu.

Ma się rozumieć, że warunki, postawione przez Japończyków są prawdziwie ciężkie dla Rosyi do przyjęcia. Przyjęcie ich oznaczałoby zupełne złamanie wpływów Rosyi w Azyi wschodniej i zupełne bankructwo idei mocarstwowej i zaborczej. Japonia poparta zwycięstwami nie przyjmie wcale pokoju któryby nie zapewnił jej należytych korzyści z tej wojny, która kosztowała ją tyle krwi i tyle pieniędzy.

Jedynie zupełne zaspokojenie żądań japońskich może gwarantować spokój. Już w jesieni gdy książe Fuszimi pertraktował ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie projektowanego rozejmu, Japonia oświadczyła, że tylko zupełne spełnienie warunków przez nią postawionych może przerwać wojnę, którą Japonia chce prowadzić po tylu ofiarach aż do skutku.



Fot. D. Mazur. Lwów.
Tadeusz Pawlikowski.



Fot. T. Jabłoński. Kraków.
Władysława Ordon.

Migawki teatralne.

Teatr prawdziwie polski, powstaje dopiero w ostatniej dobie naszego politycznego istnienia, a rozwój prawdziwy ma miejsce dopiero po upadku Polski. Fakt ten stoi w łączności i ścisłym związku z rozwojem i rozkwitem naszej literatury dramatycznej w wieku XIX., z tymi wielkimi płodami ducha epoki romantyzmu.

Mimo, że w Juliuszu Słowackim, Krasińskim, a po części i Korzeniowskim mieliśmy pierwszych i wybitnych naszych dramaturgów, były to zaledwo początki tej drogi, na jaką weszła polska literatura dramatyczna na schyłku wieku XIX. Jest to najwspanialszy tryumfalny pochód naszego narodu, naszej „Młodej Polski“. jest to jeden z największych naszych dorobków kulturalnych, uzyskany mimo braku politycznej wolności i narodowych swobód!

Cała plejada młodej rzeszy, rwącej się do górnych lotów, przejętej i umiejącej odczuć bóle i krzywdy narodowe i społeczne, ten liczny zastęp o zapalnych i natchnionych sercach młodych twórców, dał naszej literaturze wiele prawdziwych arcydzieł, o których wartości wyrobiliśmy sobie już zdanie. Szczycimy się, że my niewolnicy umieliśmy się poczuć wolnymi i wznieść na wyżyny czystej sztuki i że wszedłszy tam nie sprofanowali śmy czystych tej świątyni progów.

I dziś teatr u nas musiał wznieść się na te wyżyny, na których znajduje się i polska sztuka! Dziś wymagania, jakie stawiamy dla teatru, wzrosły niepomiernie i społeczeństwo zrosło się już z tem przeświadczeniem, że w świątyni Melpomeny musi hegemonię posiadać prawdziwy kapłan, któryby był w łasce u Apollina.

Dziś teatr nie może być uważanym li tylko za przedsiębiorstwo mniej lub więcej rentowne i od kierowników wymagamy, by ponad istniejące czy nie istniejące salda kasowe, kierowali swe zamiary i chęci i utrzymali ten przybytek sztuki na poziomie prawdziwie artystycznym.

Tak wielkie zobowiązania i wymagania, stawiane kierownikom teatrów, sprawiają, że jednostka nie jest w stanie odpowiedzieć tak wielkiemu zadaniu.

I dlatego w ostatnich czasach, wszyscy ci, którym prawdziwie chodzi o dobro sztuki, podnoszą żądanie, by teatr uczynić instytucyą gminną, i w ten sposób rozdzielić dział finansowo-administracyjny od działu czysto artystycznego.

A jednak znalazł się człowiek, prawdziwy mecenas, który zadaniu odpowiedział.

Znalazł się pośród licznej rzeszy handlarzy — prawdziwy artysta, który umiał postawić sztukę na jej należytym piedestale, którego jedynym celem życia jest: służyć wiernie sztuce!

Tym człowiekiem jest Tadeusz Pawlikowski, były dyrektor krakowskiego, a obecnie dyrektor teatru lwowskiego.

Pisać dłużej o tem, jak pojmuje on kierownictwo teatrem, jest niemożliwem, chyba byśmy przedrukowali wszystkie krytyki i oceny sztuk przez niego w Krakowie i we Lwowie wystawionych. Zresztą jest to zupełnie zbyteczne.

Działalność Pawlikowskiego znaną jest każdemu, kogo choć trochę obchodzi teatr!

Wystarczy nam dodać tylko, że jest to jeden z niewielu ludzi w Polsce, którzy żyją naprawdę dla sztuki! a to określenie zupełnie obejmuje całość jego działalności.

Tadeusz Pawlikowski syn zmarłego przed rokiem znanego krytyka i publicysty Mieczysława Pawlikowskiego, urodził się w roku 1860. Po ukończeniu szkół w Galicyi wyjechał za granicę, oddając się z zamiłowaniem studyom nad teatrem za granicą.

W roku 1889 objął dział krytyki teatralnej w „Nowej Reformie“, a w roku 1893 obejmuje dyrekcyę krakowskiego teatru, stawiając scenę krakowską na pierwszorzędnej stopie. Po sześciu latach świetnego kierownictwa ustępuje z Krakowa i obejmuje teatr lwowski który prowadzi dotychczas jak prawdziwy artysta i esteta.

* * *

Gdy rozprzęgała się świetna trupa krakowska, zebrana przez dyrektora Pawlikowskiego, nowa dyrekcya musiała wypełniać poważne luki, jakie powstały wówczas w teatrze krakowskim i znajdowała się w tem trudnem położeniu, że nowe siły zastępcze musiały wydać się o tyle słabszemi, o ile ustępujące, wybijały się ponad zwykłą miarę. W tych czasach przybyła do Krakowa i p. Władysława Ordonówna, zaangażowana z teatru lwowskiego. Zakres jej ról początkowo nieznaczny, powiększył się szybko, gdyż nowo-przybyła artystka, szybciej, niż ktokolwiek inny wybiła się na pierwszy plan i dała się poznać swemi wybitnemi zdolnościami. Nie powtarzamy tego, jako zwykłego komplementu stanowisko bowiem, zajmowane przez tę artystkę w teatrze krakowskim, uchyla w zupełności nawet podobne przypuszczenie.

Prawdziwie szybko wybiła się p. Ordonówna i okazała i rozwinęła swój talent artystyczny.

Rodzaj jej twórczości artystycznej należy do zakresu ról wybitnie lirycznych.

Wprawdzie jest to powiedzenie nie ścisłe, ale trudno talentowi młodemu jeszcze i rozwijającemu się — postawić ramy, w któreby zmieścił się — jak przypasowany.

Jedną z najwspanialszych jej ról, którą podbiła sobie wszystkich, nawet najwięcej wymagających krytyków, było odtworzenie Bronki w „Śniegu“ Przybyszewskiego. Kreacya literacka Bronki należy do prawdziwych arcydzieł naszej współczesnej literatury dramatycznej. Mamy w niej typ kobiety, kochającej gorąco i szczerze i tak poprostu od serca, dla której miłość jest skarbem największem, a gdy ona znika, gdy traci tę jedyną ostoję w życiu, upada bezsilna i życia cel i racya już dla niej nie istnieją.

Tę rolę Bronki oddała Ordonówna z ogromnym temperamentem, z wdziękiem rozkwitającego wiosną pączka róży, że laury, jakie zbierała za tę kreacyę nie były dość wielkie, by módz wyrazić to wszystko, co widzowie czuli dla artystki.

Wymieniam tu jeszcze inne role, które mogą razem z powyżej wymienioną dać pojęcie i wyobrażenie o rodzaju talentu Ordonównej.

Z dawniej granych sztuk, wspomnę tu rolę Rusałki w „Dzwonie Zatopionym“ Hauptmana, a z repertuaru tegorocznego z odczuciem i talentem oddaną rolę żony doktora w „Małym Domku“ Rittnera.

Nowa koszula.

Żył swego czasu książę
Właściciel licznych włości,
Najulubieńszym sługą
Był jego podstarości.

Nad dobrem ludu były
Na zamku wciąż debaty,
Tymczasem podstarości
Poddanym sypał baty.

Swój urząd spełniał w imię
Książęcej Jego Mości
Aż w latach czynnej służby
Zastarzał podstarości.

Przybywa więc do księcia
I zwierza swoje bóle:
Że stargał oprócz zdrowia
Ostatnią swą koszulę.

„Już zdrowia mi nie wrócisz,
Lecz daj książęce słowo,
Że za zasługi moje
Koszulę dasz mi nową!

A książę rzekł łaskawie:
„Zawołać dóbr mych rządcę
I z przyszłą wiosną niechaj
Zasieje len na grządce!

W jesieni len się zbierze
Ogłaszam to orędzie:
A w zimie tkacz nadworny
Koszulę ci uprzędzie.

Pablo de Sarasate.

Sarasate! jedno z największych imion w sztuce całego świata, podawanem jest u nas od dni kilku z ust do ust, bo występ jego na deskach estradowych Lwowa i Krakowa jest zarówno dla szczupłej garstki najżarliwszych wyznawców piękna w muzyce, jakoteż dla zwykłych, wszystkiego z równą przyjemnością słuchających melomanów i domorosłych znawców — wielkim wypadkiem dnia.

Syn półwyspu Pirenejskiego – jest dziś Sarasate jednym z tych niewielu ludzi, o których mówi poeta francuski, iż ma dwie ojczyzny. Jedna ojczyzna, to Pampeluna (ur. 10 marca 1844) druga... świat cały. I tu i tam czczą go, wielbią i kochają, obsypując kwiatami, wieńcami i uznaniem.

Początek karyery Sarasatego dość interesujący. Kiedy miał lat 8 wystąpił po raz pierwszy publicznie w teatrze Ponteredre. Ojciec Pabla, kapelmistrz 4 p.p. aragońskiego, który wiedział, iż między słuchaczami małego koncertanta znajdować się będzie i para książęca de Mentpensier, nauczył swego syna i ucznia wszystkich tytułów należnych takim dostojnikom i polecił mu, aby wobec nich zachował się grzecznie i przyzwoicie. Zmartwienie biednego kapelmistrza nie miało granic, kiedy przedstawiony księstwu — Pablo począł dostojną parę traktować „per ty“. Nie uraził się tem książę, lecz ująwszy czupurnego chłopaka, postawił go na krześle i przedstawił swej świcie w ten sposób: „dziś to wielki człowiek w wydaniu kieszonkowem. Jutro może będzie dlań świat za małym.“

Sarasate sprawdził przepowiednie księcia. Od najrańszego dzieciętwa, nie mając innej namiętności nad skrzypce — a pracowity, muzyce nad wyraz rozmiłowany – dopiął najwyższych szczebli w sztuce — uważany dziś niepodzielnie za prawdziwego króla skrzypiec.

W r. 1856 wyjechał Sarasate z matką do Francyi po naukę. Lecz zaledwie oboje przekroczyli granicę Hiszpanii, dosięgła panią Sarasate, grasująca wówczas w Bajonnie cholera — i osierocone nagle chłopię znalazło się osamotnione wśród obcych.

Szczęśliwa gwiazda sprowadziła doń bogatego bankiera bajońskiego Ignacio Garcia, który po-



znawszy przy pomocy doskonałego miejscowego skrzypka Jubina, olbrzymi talent, wywinął się dowcipnie przed ojcem Sarasatego, polecającym chłopcu wracać do Pampeluny i wysłał go do Paryża.

Sarasatem zajął się znakomity równie i jako skrzypek — pedagog Allard. W dziesiątym roku życia, otrzymuje od królowej Izabelli doskonały instrument – Stradiwariusa, za niezwykły popis na dworze madryckim.

Pod Allardem, pracując w konserwatoryum paryskiem (od 1856—59) zdobywa już w r. 1857 pierwszą nagrodę w klasie gry na skrzypcach. Sarasate zadał kłam przysłowiu *Nemo profeta in patria* zdobywając najpierw sławę w ojczyźnie, skąd rozszerzyła się potem na wschodzie, we Francyi tudzież w Ameryce. W r. 1876 zawitał poraz pierwszy do Wiednia i całej północnej i środkowej Europy — a także i do Polski. Odtąd cały świat muzykalny stał się dlań drugą ojczyzną — a strawą codzienną, hołdy, uwielbienia, uznania i to wszystko, co tylko dać może prawdziwemu artyście rozentuzyazmowany słuchacz i krytyk, składający swe pióro u stóp jego talentu.

O Sarasatem napisano już tysiące artykułów, miliony wierszy, lecz kwintesencya wszystkiego da się wyrazić mniej więcej tak:

Czystość tonu — nieskazitelna. Ton — pełny jędrny, dźwięczny, silny, a zarazem słodki i jakby lekką melanholią owiany. Temperament — ognisty... Objaw utworu – niedościgniony. Technika – bajeczna.

W granicach tych superlatywów obracają się wszelkie uznania i zachwyty tych, co słuchają dla samej tylko rozkoszy słuchan a i tych, którzy słuchają dla wyciągnięcia nauki i tych, którzy krążą „jako lew ryczący, szukając kogoby pożreć,“ dla krytykowania i pisania sprawozdań.

Niestety widownia krakowskiego teatru jest zbyt szczupłą, aby pomieścić wyzwanych. Wielkiego Pabla, któremu siwizna niczego nie ujęła, ani z temperamentu, ani z wdzięku, ani z siły — wielkiego artystę, króla skrzypków — posłyszą więc tylko... wybrani.

Bursa.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

9 (Dokończenie).

Raz jeszcze chciał spoglądnąć na tę skałę, o którą biedna dziewczyna strzaskała sobie głowę i począł spuszczać się w przepaść.

Nagle w pół drogi zatrzymał się; wzrok jego padł na sterczący wśród krzaków, wpół zardzewiały rewolwer. Gorączkowym ruchem pochwycił tę broń. Oczy zapłonęły mu dzikim blaskiem.

— Co tu mógł robić rewolwer Ścibory? Jak długo mógł tu leżeć? Zapewne jeszcze od lata. Więc Hania nie padła ofiarą wypadku, lecz dopuszczono się na niej pospolitej zbrodni?!..

Te myśli zawirowały w głowie parobczaka i naraz obraz tego strasznego wieczora stanął mu przed oczyma.

Ścibora był w zmowie z Giorczakiem! On to, wysłał go do miasteczka z listem, aby ułatwić Giorczakowi przystęp do Hani! On... tak on ją musiał wtrącić w tą przepaść! On ją zamordował!!..

Te straszne myśli przemknęły przez móg nieszczęśliwego człowieka. Istotnie bowiem kochał dziewczynę bardzo. W marzeniach swoich widział ją zawsze u swego boku, jako żonę swoją. Dla niej pragnął żyć i pracować z myślą o wspólnej ich przyszłości. I teraz w tej chwili ujrzał tą przyszłość i całe swoje szczęście zburzone, zdruzgotane zbrodniczą dłonią niegodnego człowieka.

— Jedno mam życie, ale je ofiaruję chętnie byle pomścić się na mordercy! — zgrzytnął Pogórny i schowawszy dobrze rewolwer, powrócił na folwark.

Pogórny starał się zapanować nad bólem i rozpaczą, a raczej ukrył je na dnie swojej duszy. Chociaż jednak przywdział maskę obojętności — każdy kto znał wesołego i hulaszczego do niedawna parobczaka — dostrzegłby w nim wielką zmianę. Rezygnacya i smutek rozlały się w jego rysach. Unikał hałaśliwych zabaw, kolegów i dziewcząt, za to coraz częściej widzieli go ludzie w wiejskim kościółku. Tam zbolałe jego serce doznawało ulgi. Lubiał również chodzić po lesie — rozpamiętywając te piękne chwile z życia ich obojga, kiedy to ręka w rękę zapuszczali się w niezgłębione leśne gęstwiny i snuli najpiękniejsze marzenia i plany przyszłości.

Rezygnacya ta nie odebrała mu jednak energii, a ta skierowaną była iześrodkowaną niejako w jednym celu: zemście na zabójcy, który zamordował biedną dziewczynę.

W dwa dni później, ekonom w towarzystwie Pogórnego szybkim krokiem zdążał ku dębinie.

— Co ty mówisz Jaśku?!.. ślady wilków tu w tej okolicy? To niemożliwe! — mówił ekonom.

— Wielmożny pan sam zobaczy! — odparł chmurnie Pogórny – dębina nie daleko, a ja się chyba nie mylę.

Zaledwie obaj jednak stanęli na skraju lasku, Pogórny jak raniony żbik rzucił się na Ściborę i uchwyciwszy go za kark począł go ciągnąć do dębu ponad przepaść.

Przerażony Ścibora nie opierał się nawet, tylko z piersi jego dobywało się harczenie.

— Człowieku! czego ty chcesz? com ja ci zawinił? Czy pragniesz mnie zamordować!..

— Zobaczysz psia duszo! a teraz choć ze mną, bo cię tu zaraz ubiję!..

I młody parobczak pociągnął swą ofiarę, aż nad brzeg urwiska. Tu zwalił ekonoma na ziemię i przygniótłszy mu pierś kolanami, odezwał się grobowym głosem:

— Zamordowałeś Hanię wielmożny panie! Ale nadszedł czas zemsty! Módl się, bo tak, jak ona i ty spadniesz w przepaść w tej chwili!..

— Jaśku! Jaśku! to nie ja! to Giorczak! jęknął ekonom — on ją zamordował, ale on nie chciał jej zabić! On czatował na ciebie. Ty miałeś znaleźć śmierć w tem urwisku. W ciemnościach nocy, Giorczak wziął Hanię za ciebie i strącił ją w przepaść! Przysięgam i na Matkę Bożą, na dzieci moje, że nie kłamię!..

— A łotr!..

Pogórny powoli wstał i spojrzał na ekonoma.

— Zemszczę się na nim! Krwią za krew mi zapłaci! ale pamiętaj ty łotrze! Jeśli mu choć słówkiem wspomnisz, że ja już wiem o wszystkiem, to twoja ostatnia godzina wybiła!..

— — — — — — — — — — — — — — —

Z kościoła wśród ciemnej nocy powoli wśród wesołych śmiechów i żartów zaczęli wychodzić wieśniacy. Skończyła się pasterka i każdy wracał do chaty wesoły i spokojny.

I pan pełnomocnik Giorczak szybkim krokiem podążał przez wieś ku folwarcznym zabudowaniom.

Nie zauważył jednak, że krok w krok za nim, jak cień szedł Pogórny.

Gdy Giorczak minął wioskę i znajdował się już w otwartem polu, woddaleniu jednak jakich pięciuset kroków od folwarku, w powietrzu świsnął sznur To Pogórny pochwycił swego wroga na pętlę i zacisnął ją odrazu tak silnie, że pełnomocnik odurzony zwalił się na ziemię.

Młody parobczak w jednej chwili siedział już na nim. Najpierw szybko zakneblował mu usta, następnie zwolnił nieco pętlicę i zawiązał ją na węzeł tak, żeby ofiara jego nie udusiła się przed czasem, poczem podniósł się i zawołał:

— Wstawajta wielmożny panie! pójdziema razem! Giorczak usłuchał rozkazu i Pogórny pociągnął go jak cielę na powrozie w stronę W siły.

Szli szybko... Czasami parobczak zrywał się do biegu i sadził jak sarna. Giorczak potykał się, chwiał na nogach, opadał z sił, ale biegł za Pogórnym, bo czuł, że ten pociągnąłby go bez litości, gdyby choć na chwilę przystanął.

— Czego on chce odemnie?!. — myślał Giorczak — gdzie on mnie prowadzi?!..

Pełnomocnik ani przypuszczał, że Ścibora zdradził jego tajemnicę...

I tak zbliżyli się do dębiny. Dreszcz trwogi przeszedł ciało Giorczaka; złe przeczucia wstrząsnęły jego sercem.

A Pogórny nie mówiąc ani słowa, prowadził go aż nad sam brzeg przepaści. Tu dopiero zdjął pętlę z szyi swojej ofiary.

— Wiem wszystko wielmożny panie! Ścibora mi opowiedział! Za śmierć Hani ja tobie teraz zapłacę!..

Giorczak padł na kolana. Wzrokiem błagał o litość, czepiał się nóg parobczaka, ale Pogórny nie zważał na to. Chwycił mordercę Hani w pół, podniósł ze ziemi i rzucił...

Głuchy łoskot ciała spadającego w przepaść, przerwał ciszę nocną.

Oto jest prosta niewymyślna historya miłości dwojga serc, które biły dla siebie przeznaczone, a które źli ludzie i losy zawistne na zawsze rozdzieliły.

— — — — — — — — — — — — —

W dwa miesiące później, w powiatowem miasteczku zawisł na szubienicy kłusownik Jan Pogórny, morderca Giorczaka.

Sprawiedliwości, a raczej literze prawa stało się zadość. Zabójca zginął jako wyklęty i potępiony. Bóg dobrotliwy ocenił z pewnością inaczej czyn jego i pobudki, które go spowodowały do zabójstwa znienawidzonego człowieka. Był on mścicielem śmierci dziewczyny — upomniał się w krwawy sposób o zdeptane szczęście swoje!..

KONIEC.



Dlaczego pan Telesfor ma uprzedzenie do Warszawy?

(Humoreska).

4 (Dokończenie).

Gospodarz spojrzał pytająco na gościa, a potem wzruszył nieznacznie ramionami.

— Niech będzie „sprytnie myślące“. jeżeli pan chcesz koniecznie użyć tej przenośni... Czy pan ją ma u siebie?

— Kogo?

— No, sprzączkę! – zawołał brodacz niecierpliwie.

– Niestety! – zaczął gość tonem ubolewania – rozstałem się z nią dzisiaj po obiedzie i... jestem niepocieszonym – zakończył tragicznie.

— Ależ panie! z powodu takiej bagatelki!... Wszakżeż u mnie jest ich dosyć. dam panu zaraz drugą!...

— Nie! nie! – zaprotestował Telesfor żywo – to zbyteczne. niech mi pan wierzy. zresztą przyznam się panu w zaufaniu, że nie jestem na razie przygotowany, ale jutro o tym czasie — o! z przyjemnością...

Mówiąc to wstał powoli.

Gospodarz popatrzył na niego takim wzrokiem, że biedny Telesfor usiadł odrazu.

Domniemany naczelnik szajki rzekł po chwili z współczuciem.

— Może szklankę wody pan pozwoli?

— Chce mnie otruć! – pomyślał Telesfor ze strachem i rzekł głośno, maskując swój niepokój:

— Nie uwierzyłby pan może w to, co mu powiem: ale ani papierosów. ani wody nie używam wcale... Ale bądźmy szczerymi, jak przystało na przyszłych wspólników: Dlaczego częstujesz mnie pan wodą?

— Jestem szczery — odparł brodaty jegomość – sądzę, że szklanka zimnej wody dobrze panu zrobi!... Proszę mi darować, ale mam wrażenie, że albo pan masz gorączkę, albo piłeś za dużo przy kolacyi.

Gość wstał i utopiwszy przenikliwe spojrzenie w swego gnębiciela, rzekł zimno:

— Gorączki nie mam, ale piłem istotnie dosyć, a z kim. domyślasz się pan zapewne.

— Dali-Bóg nie wiem!... Chyba z moim agentem?

— Nie, panie — odparł tym samym tonem Telesfor — byłem na kolacyi z jedną z pańskich „sprzączek“, jak je pan dowcipnie nazywasz. a znajomość której kosztowała mnie już dosyć grubo!...

— Pan bredzisz, czy kpisz ze mnie? — ryknął gospodarz z pasyą.

— Ani jedno, ani drugie! — zawołał w uniesieniu Telesfor — tylko mam pana za skończonego łajdaka, który zwabiłeś mnie do tej spelunki przy pomocy jakiejś podejrzanej kobiety — „sprzączki“ wyrażając się wykwintnym pańskim językiem.

— I pan nie jesteś waryatem? — pytał spokojnie już całkiem brodaty jegomość.

— Jestem panie rolnikiem z pod Warszawy, rozumiesz pan — krzyczał Telesfor — a pan czem jesteś?

— Ja jestem wynalazcą — mówił z spokojną godnością — i wynalazłem...

— Lari fari! — ten wynalazek był już dawno znany — przedrzeźniał Telesfor ze złością. Wynalazek i cóż takiego, zapewne sprzączki?

— Tak jest, sprzączki! — odparł z dumą wynalazca — a ta, o której pan majaczysz, nic wspólnego z moim epokowym wynalazkiem nie ma!... Mój agent, któremu poleciłem wyszukanie mi pieniężnego wspólnika, dał mi znać listownie, że nad wieczorem odwiedzi mnie pewien jegomość, zainteresowany moim kolosalnym wynalazkiem. Gdy więc pan wszedłeś...

— Rozumiem — zaśmiał się wesoło Telesfor – sądziłeś pan, że ja jestem jego przyszłym wspólnikiem.

— Ale w jaki sposób trafiłeś pan właśnie o tej samej porze i w te same drzwi...

— Opowiem panu krótko: pewna nieznajoma, a raczej, jak ona twierdzi: dobra moja znajoma, wskazała mi właśnie ten adres, jako swoje mieszkanie i prosiła, bym ją wieczorem odwiedził...

— Ach! zapewne natrafiłeś pan na jednego z owych niebieskich ptaków...

— A raczej ptaszyc...

— I pan w swej naiwności uwierzyłeś w prawdziwość tego adresu?

— Tak jest, i w tej samej naiwności wlazłem do pana, za co stokrotnie go przepraszam! Przyznaj się pan otwarcie: za co mnie pan wziąłeś początkowo?

— Początkowo za zamożnego obywatela, pragnącego przyjść z pomocą wynalazcy...

— No, a potem?

— Potem... za waryata!... A pan mnie?

— Będę równie szczerym. Zrazu sądziłem, żem wpadł w szpony rzezimieszka...

— No... a potem?

— Potem — handlarza żywym towarem!...

— Nie pozostajemy zatem względem siebie dłużni! — zakończył z wymownym uśmiechem wynalazca.

— O! przeciwnie! — zawołał uprzejmie pan Telesfor — winieneś mi pan pokazać te pańskie historyczne sprzączki, a ja winien jestem panu kieliszek dobrego wina za mitręgę i zmarnowanie czasu!...

Za kwadrans pokrzepiali się obydwaj panowie w pobliskiej restauracyi. Przy dobrem winku wynalazca wyjaśnił ziemianinowi skomplikowany mechanizm swojej „ulepszonej sprzączki“...

Najbliższym nowym pociągiem powrócił pan Telesfor na wieś do siebie i od tego czasu tylko w ważnych „majątkowych interesach“ przyjeżdża do Warszawy.

Bo chociaż w rezultacie, jak sam przyznaje, nic złego tak dalece nie spotkało go w tem mieście i oprócz straty kilkuset rubli, z powodu tajemniczej znajomości, żadnej szkody na duszy, ni ciele nie poniósł, to jednak wrażenia i emocye feralnego tego dnia były zupełnie wystarczające, by mu raz na zawsze odebrać gust i ochotę do „Warszawki“, a zwłaszcza miejskich kobietek.

Bo, jak słusznie powiada: „Strzeżonego – Bóg strzeże“!... *Fortis.*

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

I.

Jeśli kogo *drugi trzeci*
Pierwszych nie ominie –
Chociaż *cały* radość nieci,
Oplączą go smutku sieci,
Nieraz łza popłynie...

Treść szarady nie wesoła,
Lecz wesoły temat,
Bo nie znosi smutków zgoła
I zamienić życie zdoła,
W czarowny poemat.

II.

Drugie pierwsze, to stworzenie,
U biedaków w wielkiej cenie,
Bo niekiedy w braku krowy —
Daje ludziom pokarm zdrowy.
Drugie, trzecie jest to miara
Bardzo ścisła, chociaż stara —
Całość z *czwartem* zaś nazwisko,
Które polskie ma letnisko.

Logogryf

Z następujących sylab: au, błoc, cye, de, de, do, e. ga, gall, gu, i, i, i. in, izm, ki, kli, ko, kon, la, la, lek, lek, lo, ma, maz, mez, mierz, nok, ność, o, ra, rad, re, rytm, san. stów, ter. ter. tor, trycz, turn, za, zo, zo, zo, zo – ułożyć 16 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół. tworzą imię i nazwisko współczesnego poety, oraz tytuły dwóch jego utworów.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię męskie. 2. Miasto w gub. Suwalskiej. 3. Pisarz dramatyczny z XVIII wieku. 4. Rozkaz sułtana. 5. Religia staro-perska. 6. Ustęp muzyczny. 7. Siła fizyczna. 8. Ćwiczenia duchowe. 9. Pisarz francuski. 10. Współczesny kompozytor muzyczny. 11. Wykładnik potęgi. 12. Linia, łącząca na mapie miejscowości z jednakową średnią temperaturą. 13. Utwór muzyczny. 14. Miasto w gub. Radomskiej. 15. Jedna 9 9-u muz. 16. Odosabniacz.

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb wstawić litery tak aby w utworzonych 17 wyrazach środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko współczesnego poety i powieściopisarza polskiego.

Kombinacye.

10
20 1 6 23 **7** 12 9 21 10
2 15 **13** 19 16
14 15 1 23 10 **15** 1 22 15 11 13
12 19 23 19 **12** 7 23 15 7
4 12 **15** 23 7
1 20 1 12 **1** 6 18 8 18
12 19 8 **6** 13 1 22
4 5 13 15 7 19 6 **13** 1 14 13 10 19 22 7
14 17 7 **17** 18 10 7
10 19 23 22 **1** 23 11 18 7
12 19 **17** 19 6
9 15 7 24 18 **12** 21 6 13 18 23
9 7 10 7 5 **7** 21 6 1 7 17
12 7 **3** 19 6
4 19 6 13 **1** 5 23 4 7
1 21 11 2 7 **6** 18 14 17 18 7

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2. Prowincya brazylijska. 3. Roślina. 4. Powieściopisarz współczesny. 5. Wada psychiczna. 5. Instytucya gminna. 7. Tablice astronomiczne 8. Drzewo. 9. Powieściopisarka współczesna. 10. Część mechaniki. 11. Umowa. 12. Część maszyny. 13. Dzieło niedawno zmarłego powieściopisarza. 14. Pierwszy stopień akademicki. 15. Stopień wojenny. 16. Zakład przemysłowy. 16. Sakrament.

Zdanie konikowe.

mło	pla	ser	co	gdyś	pio	leń
ły	cze	de	tać	ma	nach	lut
o	ce	zwyk	nie	sen	ką	ną
ję	ka	ki	ma	cud	nię	stru
mia	rze	ja	mło	drga	ką	na
czu	pa	dziec	tkan	tej	w jej	cze
nia	łem	cia	ły	dzień	dziei	zło

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Pani Walewska“,
powieść Wacława Gąsiorowskiego.

Rozwiązania z Nru 7.

Rebus: Kopia obrazu nigdy nie dorówna oryginałowi,
Szarady: Piekarska – Salceson.
Logogryf: Saragossa – Hiszpania.
Arytmogryf: Konrad Wallenrod.
Zdanie konikowe:

Śpij spokojnie moje dziecię,
Niech ci lekkie będzie życie,
W ucieszeniu, czy w strapieniu –
Nad życzenie to życzenie.
Więc jak uśmiech w młodem oku,
Jak miganie słońca w stoku,
Jak lot ptaka po błękicie –
Niech ci lekkie będzie życie!

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Dembiński Równe, Śnieżkowa Rudki, Jagiełłowiczowie Kraków, Mika N. Sącz, Haberman Mikulińce, Josefert Kraków. Fuchs Peczeniżyn, Łaszkiewicz Słotwina, Mytych Ostrowy Tuszowskie, Wilkosz Wielopole Skrzyńskie, Badura Rożdzień, Ramoszyńska Borysław, Rożański N. Sącz, Medyński Tarnopol, Arbesbauer Lwów, Kowalski Stanisławów, Ramułtowa Jeżów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Karol Fuchs w Peczeniżynie. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

Oryginalne **SINGERA**

Należy uważać na markę fabryczną

THE SINGER MANFG. CO. TRADE MARK

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stany Zjednoczone) otrzymały

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix“
Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego. Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ul. Jagiellońska. Chrzanów: Mickiewicza.

4

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Spółka Krawiecka

pod firmą

Władysław Filipkiewicz, Tomasz Bętkowski, Władysław Miśko

Kraków, ul. Floryańska 57
tuż obok Bramy Floryańskiej

poleca na składzie wielki wybór świeżych materyałów krajowych i zagranicznych jakoteż

Skład gotowych ubrań.

6 Zamówienia wykonuje według angielskich żurnali.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.



Również czysto niklowe „Berndorf“

Cenniki na żądanie.

Wyłączny skład fabryczny.

Tom. Górecki, Kraków.

LEON GAŁEK

MAGAZYN I PRACOWNIA WYBOROWEGO OBUWIA

KRAKÓW BRACKA L. 6.

7 10-22

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.